

Magazyn słuchaczy
kursu nr 12
(rok akad. 2018/2019)

STUDIUM DZIENNIKARSKIE
Instytut Filologii Polskiej
Wydział Filologiczny
Uniwersytet Pedagogiczny
im. Komisji Edukacji Narodowej
w Krakowie

Nr 1, Kraków, 2 lipca 2019 r.



w numerze:

REPORTAŻE

- | | |
|--|----|
| 1. A. Panikowska-Filipek, <i>Najwięcej psiej krzywdy jest na wsi</i> | 3 |
| 2. M. Mazur-Prokopiuk, <i>„Jestem tam, gdzie chciałem być...”</i> | 7 |
| 3. J. Janas, <i>Papina McQueen, czyli „Stewardessa w przelocie”</i> | 11 |
| 4. A. Świst, <i>„Zabierz mnie pod tamten dach...”</i> | 15 |
| 5. A. Orzeł, <i>Skrwawione runo lasu</i> | 17 |
| 6. A. Ochmańska, <i>Opowieści różnej treści</i> | 21 |
| 7. M. Majtyka, <i>Szuflady pamięci</i> | 23 |

Rozmowa

- | | |
|--|----|
| 1. A. Panikowska-Filipek, – <i>Już nie boję się marzyć</i> | 25 |
| 2. M. Mazur-Prokopiuk, – <i>Wszystko zdarza się po coś...</i> | 29 |
| 3. M. Stronczak, – <i>Parady równości to nie moja bajka</i> | 31 |
| 4. A. Orzeł, – <i>Warto poznać swoje mocne strony, atuty i zainteresowania</i> | 34 |

Recenzje

- | | |
|--|----|
| 1. A. Panikowska-Filipek, <i>Jej portret</i> | 36 |
| 2. J. Janas, <i>Słodko-gorzka Toskania</i> | 37 |
| 3. M. Mazur-Prokopiuk, <i>Królowa puszczy</i> | 38 |
| 4. M. Ludwa, <i>Rosja, neoimperium?</i> | 39 |
| 5. A. Świst, <i>„Płatonow”, czyli inny Czechow</i> | 41 |
| 6. A. Ochmańska, <i>Gra skończona</i> | 42 |
| 7. M. Stronczak, <i>Z natury powstało dzieło sztuki (tekst sponsorowany)</i> | 43 |
| 8. M. Majtyka, <i>Uczta muzyczna, która zdarza się rzadko</i> | 44 |

Felieton

- | | |
|---|----|
| 1. A. Panikowska-Filipek, <i>Perły przed świnię</i> | 45 |
| 2. M. Stronczak, <i>Tacy są Amerykanie...</i> | 46 |
| 3. M. Ludwa, <i>My, mężczyźni, my kobiety</i> | 48 |
| 4. A. Orzeł, <i>Ten przeklęty hejt</i> | 49 |



Szanowni Państwo,

to już czwarte wydanie magazynu „XYZ”, zwieńczenie kursu nr 12 odbytego w Studium Dziennikarskim Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie (w roku akademickim 2018/2019). Teksty napisane przez słuchaczy (pod okiem wykładowców prowadzących warsztaty z gatunków publicystycznych) z pewnością zasługują na przeczytanie z kilku powodów.

Po pierwsze, należało mocno ruszyć głowę i wymyślić temat, po drugie znaleźć czas, pojechać tu i tam, spotkać się z bohaterem reportażu bądź rozmowy, to znaczy zebrać materiał, wreszcie po trzecie ułożyć w głowie plan tekstu, zrobić selekcję zebranych informacji i napisać artykuł wedle klasycznych reguł gatunkowych.

Jeśli się nie ma wprawy – a wiadomo, że jej się nie ma na początku przygody z prawdziwym dziennikarstwem – sprawa nie jest tak prosta, jak by się z pozoru mogło wydawać. W dodatku kiedy kryteria jakości tekstu wyznaczone przez wykładowców również nie należą do najniższych, ale wręcz przeciwnie – poprzeczka zawieszona została wysoko...

Mimo to duża część słuchaczy bardzo dobrze wywiązała się z obowiązków i przygotowała do magazynu „XYZ” nr 4 teksty naprawdę interesujące zarówno po względem zawartości merytorycznej, jak i sposobu napisania od strony językowej, stylistycznej, poprawnościowej. Umówiliśmy się bowiem przed rozpoczęciem zajęć, że wyłącznie takie trafią na koniec do druku.

Magazyn „XYZ” nr 4 wygląda na w pełni profesjonalny także od strony edytorskiej. To już zasługa osoby niezwykle kreatywnej, od lat zawodowo zajmującej się grafiką komputerową, łamaniem tekstów i ich ilustracją – Joanny Sroki, współpracującej od jakiegoś czasu ze Studium Dziennikarskim Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie. Nie od dzisiaj przecież wiadomo, że najpierw magazyn się ogląda, a dopiero potem go czyta.

Po nacieszeniu oczu pięknym wydaniem naszego magazynu i przekartkowaniu całości zapraszam więc do lektury tekstów słuchaczy kursu nr 12 Studium Dziennikarskiego UP.



Maciej Malinowski
redaktor naczelny magazynu „XYZ”

Najwięcej psiej krzywdy jest na wsi

Anna Panikowska-Filipek

3



Pies odebrany podczas interwencji nie przeżył. Skrajne odwodnienie i zatrucie toksynami spowodowały zbyt duże zmiany w organizmie, by dało się go uratować. Dla Magdy było to pierwsze tak drastyczne doświadczenie. Bardziej niż śmierć zwierzęcia dotknęła ją jednak bezkarność sprawców...

– *To wariatka* – mówi o Magdzie mieszkaniac jednej z podkrakowskich miejscowości, do której po raz kolejny przyjeżdża na interwencję. – *Myśli, że zwierzęta ratuje, jakby tu było co ratować. Żadna krzywda im się nie dzieje. Pies po to jest, żeby domu pilnował. A że na łańcuchu? Samopas latać nie może, bo za głupi, zaraz go samochód potrąci i tylko kłopot będzie. Chłopa by sobie znalazła albo dziećmi biednymi się zajęła, a nie porządnym ludziom głowę zawracała!*

A jednak Magda przyjeżdża. Od czterech lat regularnie odwiedza peryferie Krakowa, przedziera się przez błoto, śnieg i lód. Walczy z niechęcią i uporem mieszkańców, starając się wypracować z nimi porozumienie.

– *Budy i łańcuchy nie są problemem same w sobie – tłumaczy. – Chodzi raczej o ich stan. Oczywiście najlepiej by było, gdyby każdy pies miał swój ciepły i wygodny kąt w domu, ale na wsiach to niemal niewykonalne. O ile więc możemy się zgodzić na duży kojec albo ten nieszczęsny łańcuch – pod warunkiem że jest lekki i odpowiednio długi – o tyle rozlatująca się, niczym nieocieplona buda, brak dostępu do świeżej wody, brud, przemoc i nieleczone choroby nigdy nie otrzymają naszej aprobaty. Świadomość ludzi na wsiach jest na ten temat znikoma. Szczególnie wśród starszego pokolenia. Dlatego jeździmy, prosimy, tłumaczymy. Czasem, jeśli trzeba, grozimy.*

Warunki, jakie należy zapewnić psom, są ściśle określone przez ustawę o ochronie zwierząt. Obowiązkiem właściciela jest wygospodarowanie dla nich przestronnego, chroniącego przed zmianami atmosferycznymi pomieszczenia z dostępem do światła dziennego, wody pitnej i odpowiedniej karmy. Długość łańcucha nie powinna być mniejsza niż 3 m, a zwierzęcia nie można na nim przetrzymywać dłużej niż 12 godzin w ciągu doby. Mimo to wiele wiejskich psów spędza w ten sposób całe życie.

Co kilka dni do fundacji dociera informacja o niewłaściwym przetrzymywaniu lub znęcaniu się nad zwierzętami. Ponad połowa zgłoszeń dotyczy wsi. Jedno na dziesięć to przypadek znęcania się ze szczególnym okrucieństwem.

„Nie wtrącaj się, i tak nie wygrasz”

Z krakowską fundacją La Fauna Magda związana jest od września 2015 r. Na początku pomagała jako wolontariusz, teraz stała się inspektorem ds. ochrony zwierząt. ►

► – Długo nie zapomnę jednej z pierwszych interwencji, w których uczestniczyłam – wspomina. – Była późna jesień, taki deszczowy, mglisty, listopadowy dzień, w który jeśli nie musisz, nie wychylasz z domu nosa. Zadzwoił telefon, przyjęliśmy zgłoszenie. Powód – chore zwierzę, przetrzymywane w fatalnych warunkach. Adres – wieś kilkanaście kilometrów na południe od Krakowa. Informator – anonimowy. Na akcje terenowe zazwyczaj jeździmy w trójkę: w dwóch wolontariuszy i weterynarz. Jeśli spodziewamy się oporu ze strony właściciela posesji, informujemy lokalny komisariat policji. Mają obowiązek przyjąć zgłoszenie i stawić się z nami na miejscu. Wtedy jednak nie było problemów – kontynuuje. – Trafiliśmy pod nowo wybudowany dom jednorodzinny. Elegancki, zadbane. W ogrodzie ładny skalnik, równo przystrzyżony żywopłot i oczko wodne. Obok mały plac zabaw i drewniana altanka. Przed drzwiami, na schodach porzucone w biegu dwie pary kolorowych, dziecięcych kaloszy. A na tyłach budynku – stara, spróchniała buda. Przecieka, bo brakuje kilku desek, w środku zbiera się woda i szlam. Obok pusta miska obklejona resztkami jedzenia i błotem. Trudno przejść, nie wdeptując w zalegające wszędzie zwierzęce odchody. W powietrzu unosił się smród tak intensywny, że konieczne było założenie masek. Kiedy podeszliśmy bliżej, zobaczyliśmy, że za budą leży umazane błotem i fekaliami, średniej wielkości zwierzę. Coś, o czym teoretycznie wiesz, że powinno być psem, ale tak naprawdę wcale nie jesteś tego pewien. SkoŹniona, posklejana od brudu sierść, zapchłona tak, że na pysku i w okolicach uszu pasożyty zaczęły się wgryzać w skórę, powodując duże, sączące się rany. Na owiniętej łańcuchem szyi liczne otarcia i odleżyny. Wystające żebra, zapadnięte boki, ostra biegunka, prawdopodobnie spowodowana piciem brudnej wody. Płytki, nierówny oddech. Zero reakcji na naszą obecność. Krzywdzone zwierzęta zazwyczaj boją się ludzi, starają się przed nimi ukryć, przeczuwając zagrożenie. Wszystko jedno jest tylko tym, które wiedzą, że nic gorszego i tak nie może je spotkać. Pamiętam, że patrzyłam na konającego psa i nie mogłam uwierzyć, że taki los zgotowali mu właściciele tego ładnego domu. Rodzice, którzy wybudowali w ogrodzie plac zabaw dla swoich dzieci, na ich oczach potrafili skazać na tak okrutną śmierć psa. Odeszłam na bok, żeby opanować odruch wymiotny. Nie udało się. W tamtym okresie zdarzało mi się to często. Z czasem uodporniłam się na podobne widoki.

Według obowiązującego prawa trzymanie zwierząt w niegodziwych warunkach oraz rażąco zaniedbywanie opieki nad nimi jest formą znęcania się. W takiej sytuacji funkcjonariusz publiczny ma prawo niezwłocznie odebrać zwierzę właścicielowi, przekazując je pod opiekę najbliższego schroniska lub fundacji. Konieczne staje się spisanie



protokołu i zawiadomienie wójta gminy, w której zdarzenie miało miejsce. On natomiast powinien dopilnować tego, by sprawa została zgłoszona na policję, a następnie do prokuratury. W praktyce jednak często wygląda to zupełnie inaczej.

Pies odebrany podczas tamtej interwencji nie przeżył. Skrajne odwodnienie i zatrucie toksynami spowodowały zbyt duże zmiany w organizmie, by dało się go uratować. Dla Magdy było to pierwsze tak drastyczne doświadczenie. Bardziej niż śmierć zwierzęcia dotknęła ją jednak bezkarność sprawców.

– Na miejscu dopilnowaliśmy wszystkich procedur. Spisaliśmy protokół, zrobiliśmy dokumentację zdjęciową, poinformowaliśmy odpowiednie służby – wylicza. – Właściciele posesji byli zniecierpliwieni, ten pies w ogóle ich nie interesował. Nie wykazywali nawet cienia skruchy czy żalu. Zupełnie jakby zwierzę konające na ich podwórku było czymś całkowicie normalnym. Za takie przestępstwa grozi kara do trzech lat pozbawienia wolności i grzywna sięgająca nawet 10 tys. zł. Oni jednak nie ponieśli żadnych konsekwencji. Po jakimś czasie dowiedzieliśmy się, że dom, spod którego zabraliśmy psa, należy do pary cenionych w środowisku adwokatów. Raporty zostały spisane, lecz ostatnią osobą, która je zobaczyła, był prawdopodobnie wójt. Sprawa ucichła. Nie kryłam wściekłości, chciałam złożyć zawiadomienie na policji, zrobić cokolwiek. Usłyszałam tylko: „Nie wtrącaj się, i tak nie wygrasz”.

Mój pies, moja sprawa

Zaniedbywanie zwierząt na wsiach jest częstym i bardzo niepokojącym procederem. Wiele „łańcuchowych psów” nie ma aktualnych szczepień i nigdy nie było badanych we-



ternaryjnie. To stwarza olbrzymie zagrożenie epidemiologiczne. Przez pewien czas w licznych małopolskich miejscowościach prowadzono bezpłatną profilaktykę przeciwko wściekliznie, nosówce i parwowirozie. Do wsi przyjeżdżał weterynarz i w lokalu przygotowanym przez sołtysa badał i szczepił zwierzęta. Udzielał również porad dotyczących pielęgnacji oraz żywienia. Akcja była sponsorowana przez samorządy, ale nie wywołała większego zainteresowania lokalnej społeczności, więc gdy pieniądze się skończyły, program wygasł. Jednak mówienie o tym, że cierpienie zwierząt ma miejsce tylko na peryferiach, byłoby nieobiektywne.

– Przypadki okrutnego krzywdzenia zwierząt zdarzają się również w mieście, zazwyczaj mają jednak inne przyczyny – mówi Jakub, współpracownik Magdy z fundacji La Fauna, weterynarz. – Na wsiach największym problemem jest naprawdę bardzo niska świadomość ludzi. Oni nie widzą nic złego w tym, że podczas mroźnej zimy pies nie ma ciepłego miejsca do spania. Dziwią się, gdy proponujemy im pomoc w naprawie czy izolacji budy. „Po co?” pytają. „Przecież to pies, jest przyzwyczajony do zimna”. Przywozimy drewniane podesty, żeby zamknięte w kojcu zwierzę nie brodziło po kolana w błocie, a ludzie komentują, że jemu błoto nie przeszkadza. Nie przyjmują do wiadomości, że makaron czy czerstwy chleb moczony w wodzie nie jest odpowiednim pokarmem. Bardzo trudno zmienić ich mentalność, szczególnie jeśli są to osoby starsze. Uważają, że zwierzę pozostaje ich własnością i mają prawo zrobić z nim, co tylko zechcą.

Pamiętam interwencję sprzed kilku lat, na którą wezwano nas późnym wieczorem. Z Krakowa wyjeżdżaliśmy po 22.00. Sprawa była pilna. Ktoś zadzwonił, mówiąc, że z gospodarstwa obok dobiegają głośne krzyki i skowyt psa. Przyjechaliśmy za późno. Mężczyzna, na oko pięć-

dziesięcioletni, właściciel posesji, zatlukł zwierzę drewnianą pałką, bo zagryzło mu kurę. Nie widział w tym niczego złego. „Mój pies, moja sprawa” – stwierdził. Jedynym jego zmartwieniem był kurnik cały we krwi. Po przeszukaniu naszego archiwum okazało się, że w ciągu dwóch lat byliśmy u niego na trzech interwencjach. Jednego psa odebrano, zgłoszono również sprawę przetrzymywania gołębi hodowlanych w skandalicznych warunkach. Ani razu nie został ukarany. Po ostatnim incydencie współpracujący z nami prawnik dopilnował tego, by sprawa trafiła do sądu. Do stał rok w zawieszeniu i 3 tys. zł grzywny.

Sąsiad na sąsiada nie doniesie

Innym razem fundacją wstrząsnęła historia o kobiecie produkującej smalec z psiego tłuszczu. Rzeczą miała miejsce we wsi pod Skawiną, a bestialski proceder trwał przez kilka lat.

– Większość zabitych zwierząt pochodziła z pobliskiego schroniska, lecz żaden pracownik nie zainteresował się tym, dlaczego jedna osoba tak często stara się o adopcję. Z sadła chętnie korzystało wielu okolicznych mieszkańców. Póllitrowy słoiczek można było kupić za 20 zł. Podobno doskonały na przeziębienia, infekcję dróg oddechowych, trawienie, potencję, a nawet raka – wylicza Jakub. – W tym okresie dostaliśmy kilka zgłoszeń od osób zaniepokojonych znikającymi psami i przeraźliwym skowytom słyszalnym w nocy. Jednak na miejscu nie znaleźliśmy niczego niepokojącego. Wszędzie zamykano przed nami drzwi. W bezpośrednim kontakcie mieszkańcy nabierali wody w usta. Czym innym jest złożenie anonimowego donosu, a czym innym wskazanie konkretnej, odpowiedzialnej za przestępstwo osoby.

Sprawców udało się namierzyć dzięki śledztwu przeprowadzonemu przez dziennikarzy Wirtualnej Polski w 2014 r. Ukazali oni, jak wielka jest skala tego zjawiska w Małopolsce i na Podhalu, oraz doprowadzili do rozpoczęcia procesu winnych. W znalezieniu domów tymczasowych dla ocalonych zwierząt pomagali wolontariusze La Fauny.

– Nie pracowałam jeszcze wtedy w fundacji, dlatego to zdarzenie znam tylko z opowieści – mówi Magda. – Za każdym razem jednak wywołuje u mnie dreszcze. Dla wyjaśnienia dodam, że nie przytaczamy go po to, by epatować niepotrzebnym okrucieństwem, lecz by ukazać pewne mechanizmy rządzące wiejską społecznością. Trudno sobie wyobrazić, żeby w mieście taki proceder stał się popularny. Zapotrzebowanie na produkt niewiadomego pochodzenia, o niepotwierdzonym działaniu byłoby raczej znikome. Poza tym ludzie inaczej traktują tu psy. Nie wykorzystują ich do pilnowania posesji czy odstraszenia kun i lisów. Kupują zwierzę, bo chcą, aby stało się ich towarzy-

► szem, często dbają o nie jak o dziecko. Oczywiście zdarzają się wyjątki, jak zwyrodnialec, który w zeszłym roku wyrzucił szczeniaka przez okno z szóstego piętra, ponieważ za głośno szczekał. Jednak los psów w mieście jest zdecydowanie lepszy niż na wsiach. Również dlatego, że tutaj łatwiej zauważyć krzywdę. Oprawcom trudno by było ukryć tak okrutny proceder. Ludzi nie więżą tak silnie więzi, nie mają więc oporów, żeby zgłosić, jeśli zauważą coś niepokojącego. Na wsiach dzieje się inaczej, tam panuje zmowa milczenia. Sąsiad na sąsiada nie doniesie. Wielu osobom wydaje się, że wieś jest idealnym miejscem dla psów, bo mają tam zapewnioną dużą przestrzeń i swobodę, nie męczą się w ciasnym mieszkaniu. Ale prawda jest taka, że właśnie tam spotyka je najwięcej cierpienia.

Na wsi tak się robi

Ogromnym problemem przedmieścia pozostaje również niekontrolowane rozmnażanie się psów. Mało który właściciel decyduje się na kastrację, a ciąża suki często jest dla niego zaskoczeniem.

– Szczeniaki to duże wyzwanie. Trzeba je przebadać, zaszczepić, odrobaczyć, wykarmić, nauczyć czystości i zsocializować, a gdy się usamodzielnia, znaleźć odpowiedni dom. Potrzeba na to sporo czasu, pieniędzy i doświadczenia. Nie każdy się tego podejmie, dlatego uważam, że kastracja poza hodowlami powinna być obowiązkowa i bezpłatna – mówi Aneta, działaczka na rzecz ochrony zwierząt i pracownik krakowskiego schroniska.

– Szczególnie na wsiach – dodaje Magda. – Tam większość miotów bywa nieplanowana, nie wiadomo, kto jest ojcem ani jak będą wyglądały szczeniaki. Nie wspomnę o tym, że takie krzyżówki często są obciążone licznymi wadami genetycznymi. Szczenięta to kłopot i niepotrzebny wydatek. Problemem jest również znalezienie im nowych właścicieli. Kundli nikt nie kupi, za darmo też rozdać trudno. Niestety, wiele szczeniąt kończy tragicznie. Nie zliczę, ile ciężarnych suk znalazłszy przywiązanych do drzewa

ani ilu szczeniąt nie zdążyliśmy uratować, zanim utonęły w obciążonych ceglami workach. „Na wsiach tak się robi” – to nieśmiertelny argument, powtarzany w większości podobnych sytuacji – podsumowuje z goryczą Magda.

Topienie młodych zwierząt w wielu miejscach w Polsce to proceder powszechny. Mimo że według prawa uznaje się to za przestępstwo, wiele osób zdaje się tym nie przejmować. Być może dlatego, że sprawcę bardzo trudno znaleźć.

– W zeszłym roku otrzymaliśmy zgłoszenie ze wsi koło Myślenic, 30 km od Krakowa. Sąsiedzi mieli dość smrodu unoszącego się z jednej z posesji. Okazało się, że właściciel miał trzy suki w różnym wieku, których nie zamierzał sterylizować. Wolał raz na jakiś czas zapalić w piecu i wrzucić do niego niechciany miot.

Wyższe kary to za mało

Takich spraw było wiele. Niektóre równie lub jeszcze bardziej drastyczne, inne na szczęście mniej. Pracownikom La Fauny udało się uratować i przekazać do nowych domów wiele zwierząt. Sprawcy zaniedbań często zostawiali ukarani, zazwyczaj jednak kończyło się na niezbyt dotkliwej grzywnie.

Nieco zmieniło się to dzięki zaostrzeniu kar za znęcanie się nad zwierzętami wprowadzonym w 2018 r. Za działania ze szczególnym okrucieństwem obecnie grozi kara pozbawienia wolności do lat pięciu. Wcześniej tylko do trzech. Do tej pory najwyższy wyrok zapadł w Polsce tylko raz, w ubiegłym roku. Mężczyźnie, który katował, a następnie w wyjątkowo brutalny sposób zabił psa, sąd wymierzył karę 4,5 roku pozbawienia wolności, grzywnę w wysokości 6 tys. zł oraz 15-letni zakaz posiadania psów.

Obrońcy praw zwierząt twierdzą, że to i tak zbyt mało. Patrząc na sprawę obiektywnie, wydaje się, że jest to miły krok w polskim sądownictwie.

– Do tej pory takie sprawy były traktowane z wyraźnym dystansem i niechęcią – przyznaje Magda. – Jeśli w ogóle dochodziło do procesów, sprawcy otrzymywali najniższe kary. Teraz, nareszcie, to się zaczyna zmieniać. Obecnie w Polsce zapada dwa razy więcej wyroków w sprawie znęcania się nad zwierzętami niż jeszcze 10 lat temu. Ale to wciąż za mało. Poza tym nie wystarczy karać. Trzeba jeszcze edukować. Tłumaczyć ludziom, że zwierzęta też czują, że nie wolno ich bezkarnie krzywdzić. Uczyć szacunku do przyrody, do środowiska. Wpajać te wartości dzieciom. My prowadzimy liczne kampanie zwiększające świadomość społeczeństwa, organizujemy prelekcje w szkołach, zajęcia z dogoterapii w przedszkolach i żłobkach. Staramy się docierać przede wszystkim do mieszkańców wsi. Mamy nadzieję, że z pomocą samorządów i przedstawicieli lokalnej władzy nam się to uda.

ANNA PANIKOWSKA-FILIPEK



„Jestem tam, gdzie chciałem być...”

Maria Mazur-Prokopiuk



Mama Bartka teraz ma dobry kontakt z synami i wnukami. Mieszka w lokalu socjalnym. Czyszczy płaci Bartek. Razem z braćmi pomaga jej finansowo...

Spotykamy się w mieszkaniu na Starym Mieście w Krakowie. Akurat strajkują nauczyciele, więc syn i córka są w domu. Osiemnastoletni chłopak i dwunastoletnia dziewczyna. Przekomarzają się w kuchni, kto tym razem sprząta po śniadaniu. „To musi być dom z dobrą energią” – myślę sobie w duchu.

Bartek zaprasza do pokoju. Wita mnie pies, który wszędzie łązi za panem, wierny towarzysz. Gospodarz prosi, bym usiadła, i sam uклада się wygodnie na sofie. Jest wysoki, postawny. Trenuje sztuki walki. W sierpniu 2018 roku obchodził czterdzieste urodziny. Informatyk samouk. W 2000 roku wziął ślub, rok później urodził mu się syn. Studia zaczął, ale nie udźwignął ich finansowo. Przez kilka lat pracował w korporacji, w branży IT.

W 2009 roku stwierdził, że musi coś zmienić. Dzisiaj ma własną firmę, rodzinę, mieszkanie w starej kamienicy i drewniany domek w środku lasu. O swoim dzieciństwie rozmawia tylko z żoną. Mówi, że jest jego przyjaciółką, że jej wyłączenie ufa.

Podkreśla, że opowie mi o sobie, ale prosi o dyskrecję.

Pytam go: Dlaczego? Czy dom dziecka to wstyd?

Odpowiada:

– *Jaki wstyd? Raczej jest jak złamana noga. W dzieciństwie złamana. Skoro się zrosta, to po co o niej mówić?*

Od początku

Pochodzi z niewielkiej miejscowości pod Krakowem. Ma dwóch braci: Pawła, starszego od niego o cztery lata, i Krystiana, młodszego o siedem. Małżeństwo rodziców szybko się rozpadło. Ojciec pił, zdradzał matkę, po alkoholu bywał agresywny. Kiedyś kopniakiem zabił psa – Bartek tego nie pamięta, matka mu opowiadała. Odszedł, kiedy Bartek miał trzy lata.

Matka nie radziła sobie finansowo, wpadła w długi i sprzedała dom na wsi. Kupiła mieszkanie w Nowej Hucie na os. Piastów. Pracowała w recepcji w hotelu robotniczym. Jak przeprowadzili się na Piastów, ojciec na jakiś czas wrócił. Kiedy w 1984 roku urodził się Krystian, odszedł na dobre. Z łódzką.

Bartek dobrze się uczył i pomagał w domu. Jak nie mieli co jeść, zbierał butelki w parku przy osiedlu, sprzedawał je i przynosił matce pieniądze. Kiedyś wyszła do pracy i zamknęła chłopców na klucz. Przyszedł ojciec, nie mogli otworzyć drzwi od środka. Mówił, że jest głodny, z balkonu spuścili mu na sznurku mięso, ugotowane przez matkę. Ojciec mięso zabrał i zniknął. A chłopców matka sprząła kablem od żelazka. Czasem też był to skórzany pas albo kabel od prądu.

Starszy brat Bartka, Paweł, trafił do zakładu wychowawczego. Sprawiał problemy – pił, palił, imprezował. Matka poszła na policję i oskarżyła go o kradzież sztuców i awantury. Według Bartka awantury rzeczywiście się zdarzały, ale kradzieży nie było. Matka po prostu wiedziała, co powiedzieć, żeby pozbyć się najstarszego i najtrudniejszego syna z domu. Paweł dzisiaj mieszka w Niemczech, jest po dwóch rozwodach, w Polsce ma troje dzieci.

Pogotowie przy Długiej

Bartek pokazuje mi zdjęcia z dzieciństwa, ma ich niewiele. Na wszystkich chłopiec z gładko uczesаныmi włoskami, czyste ubranko, delikatny, nieśmiały uśmiech. Wśród tych z podstawówki pojawiają się fotografie z pogotowia opiekuńczego. Zadaniem pogotowia było zapewnienie chwilowej opieki dzieciom z rodzin dysfunkcyjnych.

Dzieciaki trafiały tam w wyniku interwencji policji, ale również w oczekiwaniu na decyzję sądu o umieszczeniu ich w rodzinie zastępczej, zakładzie wychowawczym, poprawczym czy domu dziecka. W efekcie było to miejsce, gdzie spotykały się dzieci skrzywdzone i młodociani przestępcy, którzy mieli na sumieniu różne sprawy: od drobnych kradzieży po prostytucję, pobicia, gwałty.

Bartek przebywał tam dwa razy. Pierwszy raz z młodszym bratem, kiedy mama poszła do szpitala i nie miał kto się nimi zająć. Brat starszy był już w zakładzie. Bartek miał wtedy 12 lat. To było pogotowie przy ul. Długiej.

– Dostałem wpierdziel. Ale jak mnie pytali wychowawcy, co się stało, mówiłem, że uderzyłem się o szafkę – wyjaśnia Bartek.

Generalnie każda nowa osoba w pogotowiu dostawała manto. Czasem ją okradano. Teoretycznie można było zgłosić to do wychowawców, ale pozostali podopieczni niezbyt łaskawie na to patrzyli. Bartek nie pamięta, jak długo pozostawali wtedy w pogotowiu.

Pogotowie na Górcie Narodowej

Lato w 1993 roku było zimne i deszczowe. Koniec podstawówki, egzaminy do technikum, w końcu wakacje. Czas spędzany raczej z książką niż z kumplami z osiedla, bo większość kolegów gdzieś w lecie wyjeżdżała. Bartek lubił czytać. Chodził rano do osiedlowej biblioteki i wieczorem oddawał przeczytane książki. W ten sposób do czwartej klasy podstawówki przeczytał cały księgozbiór dla dzieci i bibliotekarki przepisały go do działu dla dorosłych.

Bartek obchodzi urodziny pod koniec sierpnia. W dniu jego piętnastych urodzin przyszła do domu kuratorka i kazała mu się spakować. Pojechał z nią na Górkę Narodową 116. Dzisiaj już nie pamięta, czy się bał. Był dezorientowany, nie wiedział, co będzie dalej. Nie wiedział też, że do mieszkania na Piastów już nie wróci. Miał tam poczekać na decyzję sądu o przydzieleniu go do domu dziecka.

Pierwszym etapem pobytu w pogotowiu opiekuńczym okazał się oddział izolacyjny. Tam odbywało się badanie ogólnego stanu zdrowia i rozmowa z psychologiem. Ten okres przejściowy spędzało się w pomieszczeniu za kratami razem z innymi nowo przybyłymi. Bartek wspomina to tak:

– Spędziłem trzy dni z młodym pedofilem. Nie miałem z nim kłopotów. Raczej on potem miał kłopot z nami, jak

już trafiliśmy do swoich grup docelowych. Pedofil nie dbał o higienę i śmierdzał. Kiedyś wrzuciliśmy go do brodzika i umyliśmy tym, co nam wpadło w ręce; domestosy i inne takie. Zrozumiał lekcję.

Bartek mieszkał w pokoju dwoma chłopakami: Sebastianem i Waldkiem. Pierwszy okazał się drobnym przestępcą – gejem, a drugi – złodziejem samochodów.

– Sebastian był najdrobniejszy ze wszystkich, cholernie wyszczekany. Rządził całą grupą – mówi Bartek. – Już nie raz przebywał w pogotowiu, więc wszyscy go tam znali. I bardzo lubili. Waldek – złodziej zresztą – też należał do gości w porządku.

Bartek wspomina, że w pogotowiu opiekuńczym na Górcie Narodowej wychowawcy byli rewelacyjnymi ludźmi – świetna ekipa, która naprawdę robiła, co mogła. Zawsze gotowi kogoś wysłuchać, pogadać z nim.

– Trudno mówić o wychowaniu w miejscu, gdzie na niewielkiej przestrzeni zamknięte są dzieciaki poszkodowane przez los razem z nieletnimi, którzy kradną, gwałcą, prostytuują się. Można tylko pilnować, by się nawzajem nie zjedli. I to właśnie robili wychowawcy. Starali się nimi kierować – szczególnie tymi, którzy mieli jakąś szansę wyjścia na prostą – wspomina Bartek.

Ul. Naczelną 12

Wychowawcy w pogotowiu postarali się o to, żeby trafił na ul. Naczelną do Domu Dziecka nr 7, podobno jedną z lepszych placówek.

– Wyszedłem stamtąd, mając 19 lat, czyli cztery lata w systemie – Bartek często używa żargonu instytucji pomocy społecznej.

Śmieje się, kiedy zwracam mu na to uwagę. Nie ma stamtąd szczególnie złych wspomnień ani szczególnie traumatycznych. Nie miał sytuacji, w których zagrożone było jego życie, nie został wykorzystany seksualnie. Jasne, że nieraz ktoś coś mu ukradł, ale w takich instytucjach to nie jest nic nadzwyczajnego. Bójki też się zdarzały. W końcu wyrobił sobie autorytet, dzięki czemu po prostu go już nie okradali.

Z ul. Naczelnej Bartek najlepiej zapamiętał panią Marysię, wychowawczynię jego grupy, która poświęciła mu wiele czasu. Miał też świetny kontakt z „paniami nocnymi” jak je nazywali, czyli dyżurującymi w nocy. Dzięki temu, mimo że od godz. 22 obowiązywała cisza nocna, mógł jeszcze spokojnie posiedzieć na korytarzu. Z kucharkami i całą obsługą też się dogadywał. Kiedy miał 16 lat, palił fajki z ogrodnikiem. To byli superludzie, bardzo dobrze ich wspomina.

Jeżeli miał marzenia, to takie zwykłe: walkman, lepsze spodnie. Brakowało mu wyjść poza placówkę. Dom dziecka na weekend opuszczali wyłącznie ci z przepustką

i przede wszystkim tacy, którzy mieli dokąd wyjść. Raz spędził wieczór wigilijny z rodziną przyjaciela z technikum. Wszystkie inne święta przez te cztery lata w bidulu. Pytam go więc, czy chciał uciec.

– Pewnie tak, ale wiesz, kalkulujesz koszty. Karę za ucieczkę był zakaz wyjść. Dokąd uciec? Jedyne miejsce to patologiczne środowisko, które cię przygarnie w zamian za kradzieże, w przypadku dziewczyn – często za prostytucję. Wujek wyszedł na warunkowe, więc dziewczyna zwiewa do wujka, nikt nie powie, co tam się dzieje, ale wiadomo, że nie będzie zwolniona z obowiązku pracy. Kiedyś uciekła taka skromna dziewczynka, która miała ksywę Kosmata, z racji fryzury. Z reguły uciekinierów przywoziła policja. Jak cię złapią, może zapaść decyzja o karnym przeniesieniu do innego domu dziecka lub do zakładu wychowawczego. Ale jeżeli ktoś zwiat do matki na weekend, bo tęsknił, to nie robiło się z tego problemu.

W domu dziecka przyjaźnie są bardzo intensywne. Wydaje się, że na całe życie. Trochę jak na wojnie. Dzieciaki, nie będąc w domu nauczone normalnych relacji, odczytywania znaczenia słów, mimiki, gestów, reagują też nadmiernie emocjonalnie, budując zarówno te pozytywne relacje, jak i negatywne. Dodatkowo jednoczy wspólny wróg, a zawsze znajdzie się taki wśród wychowawców. Część przyjaźni Bartka przetrwała, inne się wykruszyły.

– Pod koniec szkoły średniej mój znajomy z klasy powiedział mi, że przez kilka pierwszych lat technikum śmiertelnie się mnie bał, bo moje reakcje wyglądały na tak gwałtowne i nieprzewidywalne, że nigdy nie było wiadomo, co mnie wkurzy, a z czego się będę śmiał – wspomina Bartek.

Pamięta wiele zabawnych sytuacji. Większość wiąże się z Grześkiem, najlepszym przyjacielem. Śmieje się na wspomnienie świątecznego ciasta, którym go nakarmił, mimo protestów. Kradzież mydła z magazynku (środki czystości były limitowane) i symulacja, że to kij od mopa zbił szybę, a nie oni. Lany poniedziałek i zalanie całego piętra. Powodem śmiesznych kłótni między nimi pozostawał też rodzaj muzyki, jakiej słuchali. Bartek słuchał punk-rocka, Grzesiek disco z lat 90. Raz się o to prawie pobili, kiedy trwał remont, i przez kilka dni musieli mieszkać w jednym pokoju.

Umawiam się z Grześkiem na ul. Krupniczej, bo tamtędy wraca z pracy do domu. Pytam go o Bartka:

– Zawsze był buntownikiem, nie chciał się podporządkować. Bronił słabszych, mnie też – Grzesiek trochę mnie zbywa, spieszy się. – No i dziewczyny na niego leciały, bo umiał grać na gitarze.

Matka

Mama Bartka teraz ma dobry kontakt z synami i wnukami. Mieszka w lokalu socjalnym. Czynną płaci Bartek. Razem z braćmi pomaga jej finansowo.

– Komornik zabiera dużą część mojej emerytury – tłumaczy się mama Bartka, kiedy odwiedzam ją w jej mieszkaniu w Nowej Hucie.

Powietrze jest tu ciężkie i kwaśne od dymu z papierosów. Lekko drżą jej dłonie, kiedy wyciąga następnego z paczki i zapala. W ciągu dwóch pierwszych minut rozmowy proponuje mi papierosa, kawę, herbatę, kanapkę i ciastko. Kiedy pytam, jak to się stało, że tak potoczyły się losy jej rodziny – odpowiada, że Bartek był chorowity, cierpiał na astmę. Kiedy miał trzy lata, to musiał jechać do sanatorium do Rabki i spędzić tam pół roku.

Nie odwiedzała go, nie miała jak dojechać. Kiedy go wreszcie wypuścili, pojechała po niego z bratem. Siedział z tyłu samochodu. Nagle zaczął recytować: „Do ciebie, Boziu, rączki podnoszę, o zdrowie wszystkich proszę...”. Popłakali się z bratem. Teraz też płacze.

Upewnia się:

– Ale nazwisk pani podawać nie będzie?

Obiecuję, że nie. Pytam, czy mogę ją nazywać Józefą.

– Może pani – śmieje się mama Bartka.

Długo opowiada o rozwodzie. Trwał pięć lat, mąż nie przychodził na rozprawy, sąd wyznaczył kuratorkę, która zaczęła ich odwiedzać. Stwierdziła, że w mieszkaniu brakowało warunków do wychowania dorastających chłopców.

Rzeczywiście, było biednie. W 1992 roku pani Józefa straciła pracę w recepcji w hotelu pracowniczym. Poszła na bezrobocie, a mąż alimentów nie płacił. Mieszkanie na Piastów trzeba było sprzedać.

– To była decyzja sądu, że Bartka zabrali. Ja wcale tego nie chciałam – tłumaczy i znów proponuje: – A może jednak napije się pani kawy? A herbaty?

Bartek uśmiecha się, kiedy mu o tym opowiadam. Kuratorkę wspomina jako wredną babę, pokazuje mi ją na zdjęciu. To ona zawiozła go do pogotowia. Nie czuł z jej strony chęci pomocy. Podejrzewa, że zasugerowała matce takie rozwiązanie.

– Decyzja sądu? Gdyby tak było, toby do domu dziecka trafił najpierw Krystian, był młodszy. Mama sprzedała mieszkanie, bo miała dług, taka jest prawda.

Pani Józefa dla siebie i młodszego Krystiana wynajęła pokój z kuchnią na Azorach. Mieszkali razem jeszcze około roku. Kiedy Krystian skończył 10 lat, dołączył do brata na Naczelnej.

Dzisiaj Bartek razem z braćmi pomaga matce finansowo. Przychodzi na wszystkie imprezy rodzinne, potrafi barwnie opowiadać. Jest głośna, dowcipna, ma poczucie humoru, klnie jak szewc. A wtedy?

Nie, nie zabierała ich do siebie. Po wyprowadzce z Azorów mieszkała w hotelu pracowniczym. Zaczęła pracować jako salowa na oddziale zakaźnym w szpitalu na Kopernika.

– Odwiedziła nas może ze dwa razy w ciągu tych czterech lat, kiedy tam byłem – mówi Bartek. – Tak, miałem żal o to, że nas prała. Dzieci się bić nie powinno, a my dostawaliśmy konkretne wciry, za pierdoły. Mogę ją tłumaczyć tym, że wiecznie żyła na krawędzi, zmęczona psychicznie i fizycznie. Wychowywała trójkę chłopaków, pracując w trybie czterobrygadowym, to naprawdę nie jest proste. Mam żal do rodziny matki, że nie pomogła. Wystarczyło z nią pogadać. Żeby się nie pogrążyła finansowo.

Ojciec

A ojciec? To krótki epizod w życiu Bartka. Alkoholik, w sumie menel. Zmarł w 2009 roku na ulicy. Pochowano go wśród bezdomnych na Batowicach. Na Wszystkich Świętych Bartek zawsze idzie tam, żeby zapalić mu znicz. Chce mieć czyste sumienie.

Dzisiaj jestem szczęśliwy

Basia, siostra Magdy, czyli szwagierka Bartka, zna go od 1996 roku. Dorabiał sobie wtedy w firmie remontowo-budowlanej. Robili jakieś prace wykończeniowe w mieszkaniu Basi, kiedy przyjechała tam Magda. Tak się poznali. Bartek miał 18 lat.

Basia mieszka niedaleko. Wychodząc od Bartka, wpadam do niej na chwilę. Opisuje, jak wtedy widziała Bartka:

– Bardzo przystojny, mądry, odcytany, odpowiedzialny, nad wiek dorosły. Moja siostra straciła dla niego głowę i tak jej zostało do teraz – wzdycha. – Oni się przecież prawie nie rozstają!

Jak do tego doszło?

Docieramy do romantycznego fragmentu tej historii. Oddajmy głos naszemu bohaterowi:

– Mając 19 lat, znalazłem się na ulicy z torbą, małą wyprawką. Zostałem karnie usunięty z domu dziecka – Bartek się śmieje. – Od poniedziałku do piątku miałem nocować w internacie, w weekendy na Naczelnej. Ale poznałem Magdę... Często spałem u niej, w internacie mówiłem, że jestem w bidulu, i odwrotnie. Moja wychowawczyni była dociekliwa i wydało się.

Miłość – to było dla Bartka nowe doświadczenie. Jak eksplozja bomby atomowej, która wszystko postawiła na głowie. Nigdy nie spotkał się z ciepłem, bezinteresownym uczuciem.

Z kolei Magda wspomina, że na pierwszej randce powiedział jej:

– Jestem z domu dziecka, czy ty wiesz, w co się pakujesz?

Tak bardzo się bał, że ona się rozmyśli, iż ten balonik, którego się uczipili, w końcu pęknie i wylądują oboje na zimnej ziemi. Próbował wszystkiego najgorszego. Zapytał ją na przykład:

– Czy ty się we mnie zadurzyłaś?

Miała ochotę go zamordować.

– Magda jest miłością mojego życia – mówi Bartek. – To ona mnie nauczyła poprawnych relacji społecznych.

Upewniam się, co ma na myśli. Ostatnie zdanie brzmi zbyt podręcznikowo. Twierdzi, że właśnie tak, wcześniej nie chciał i nie umiał się odnaleźć w grupie. Wciąż uczy się relacji społecznych, odczytywania ludzkich intencji.

Czy coś by zmienił w swoim życiu?

– Gdyby zmiana pociągała za sobą fakt, że nie byłbym w tym miejscu i czasie, w którym jestem, tobym nic nie zmieniał. No, może bardziej bym się przyłożył do nauki – Bartek się uśmiecha.

– Dzisiaj jestem szczęśliwy. Jestem tam, gdzie chciałem być. Mimo braku wzorców udało mi się stworzyć udaną i kochającą się rodzinę. Mam firmę, która pozwala nam na godne życie, osiągnęliśmy to wszystko dzięki pracy. Na początku było cholernie biednie, bywało, że wyłączali nam prąd, bo nie mieliśmy kasy, żeby zapłacić. Ale zawsze byliśmy sobie oddani. Kochamy się, to jest dla mnie najważniejsze.

„Dysię” oczywiście, że pamiętam”

Dom Dziecka przy ul. Naczelnej 12 został zlikwidowany w roku 2012, zgodnie z polityką władz miasta dążących do wygaszania tradycyjnych molochów opieki społecznej. Obecnie funkcjonuje w tym budynku Interwencyjna Placówka Opiekuńczo-Wychowawcza (IPOW) dla Chłopców.

Nie liczyłam na wiele, dzwoniąc tam. Chciałam jedynie uzyskać wskazówkę, gdzie szukać pracowników Domu Dziecka, którzy by mogli pamiętać Bartka. Połączono mnie z panią dyrektor. Ciepły, wesoły głos w słuchawce:

– „Dysię”? Oczywiście, że pamiętam. Bartek był naszym wychowankiem w pogotowiu opiekuńczym na Górcie Narodowej. Wie pani, ja 32 lata jestem w zawodzie. A co tam u Bartka? Jak sobie radzi? Myśmy namawiali jego mamę, żeby nie sprzedawała mieszkania na Piastów, żeby zostało dla chłopców. Mamy tyle miłych wspomnień z Bartkiem!

Jest zaskoczona, że chłopcy po tym, co się stało, mają dobry kontakt z matką. Kiedy pytam Bartka o „Dysię”, śmiejąc się opowiada, że takie miał przewisko w pogotowiu. Prosząc wychowawców o kieszonkowe, mówił: „Czy mógłby dostać swoją dysię, czyli dziesięć złotych?”.

Chwilę po mojej rozmowie z dyrektorką IPOW dzwoni do niej Bartek. Umawiają się na spotkanie. Bartek chce przyjść z Magdą. Zastanawia się, jak to będzie. Jest teraz zupełnie innym człowiekiem. Spotkanie oznacza otwarcie drzwi, które kiedyś świadomie zamknął. Zaryzykuje. Chwilowy powrót „Dysi” jest mimo wszystko kuszącą perspektywą.

MARIA MAZUR-PROKOPIUK

– Większość drag queens twierdzi, że w Polsce nie da się z tego utrzymać. Ja odpowiadam: „Da się” – mówi Paweł Rupala

Papina McQueen,

czyli „Stewardessa w przelocie”

Jakub Janas

Ludzie od wieków lubili się przebierać za płęć przeciwną. Antyk, teatr szekspirowski czy japoński teatr kabuki chętnie korzystały z tej konwencji

Tym, co łączy wszystkie owe rodzaje sztuki z dragiem, są teatralność, przerysowanie, rubasznosc, frywolność i kumpowość. Dlaczego w takim razie dawniej ludziom się to podobało, a teraz nazywają to dewiacją?

Z Papiną McQueen spotkałem się w jej atelier na krakowskim Kazimierzu. Kiedy zapukałem, drzwi nie otworzyła mi diva, gwiazda telewizji, ale szczupły chłopak z tlenionymi włosami – Paweł Rupala. Nie byłem zaskoczony. Byłbym bardziej, gdybym zobaczył gościa w pełnym makijażu, idealnie wystylizowanych włosach i w błyszczącej sukni.

Zostałem zaproszony do pomieszczenia wielkości przeciętnego salonu, bardzo jasnego, spowitego strojami od sufitu aż do podłogi. Pod oknem stała niewielka kanapa, naprzeciwko stolik i krzesło jakby czekające na mnie. Była jeszcze romantyczna toaletka. I hulajnoga.

Papina McQueen to jedyna polska drag queen, parodystka wykonująca własny program stand-up comedy pn. „Stewardessa w przelocie”.

Początek

– Moja historia z dragiem zaczęła się siedem lat temu. Dostałem pierwszą rolę w Teatrze Zagłębia w Sosnowcu



11

jako statysta. Reżyser Jacek Bunsh wpadł na pomysł, żeby wrzucić w środek motyw draga. No i spośród wszystkich chłopców obecnych na przesłuchaniu wybrał mnie. Nie wiedziałem, z czym to się je. Miałem pół roku przygotowań: nauka chodzenia na szpilkach, mimika, gestykulacja, śpiewanie z playbacku. Potem przebrałem się na Halloween, krótko po tym trafiłem na dragowy festiwal w Warszawie.

– To ta sukienka – Paweł podbiega do wieszaka i ściąga luźną, pomarańczową sukienkę w duże kwiaty. ►



► – To nie jest raczej kreacja najwyższych lotów – zauważam.

– No właśnie, więc wyszedłem trochę jak babcia. Ale ta sukienka została wykonana całkowicie od zera. Krawcowa mi ją uszyła. Powiedziałem, że potrzebuję do spektaklu w szkole. No i dostałem coś takiego...

Nadal patrzę na sukienkę przypominającą trochę ceratę.

– Zająłem w niej trzecie miejsce! – dodaje Paweł. – Mam chyba szczęście, gdyż zawsze spotykam ludzi, którzy mi pomagają. Tak trafiłem na „Kancelarię Artystyczną”. Stwierdziłem, że chcę robić stand-upy. I wtedy narodziła się „Stewardessa w przelocie”. Początki były śmieszne i bardzo żenujące. Pamiętam debiut w restauracji włoskiej przy Urzędniczej w Krakowie. Henryk Pasiut, mój menedżer, stwierdził, że zaprosi znajomych, żeby Papina mogła mieć pierwszy oficjalny występ. Przyszły Ewa Kasprzyk i Aldona Jankowska, po prostu okazało się, że Henio zna takich ludzi, a że byli w Krakowie... Zebrali się około 30 osób.

Henryk zapowiedział, że dzisiejsza gwiazda przyleciała z dalekich krajów specjalnie dla nas. Tego monologu wystarczyło na około 20 minut. No i wyszedłem, zdążyłem powiedzieć „Witam serdecznie na pokładzie najtańszych linii lotniczych «Papina Airlines»” i, słuchaj, czarna plama, nie wiem, gdzie jestem, nie wiem, co mam mówić. Henryk chciał mnie naprowadzić: „To gdzie pani latała?” A ja nic, totalnie nic. Opowiedziałem jakiś dowcip i to było na tyle. Pamiętam, jak ludzie podchodzili do niego i pytali: „Co to w ogóle jest, co ty wyczyniasz, kim ty się zajmujesz?” A on wtedy odparł: „Zobaczycie, kiedyś będziecie kupować bilety na jego spektakle”.

To było 5 lat temu. A teraz ludzie kupują, może jeszcze nie na Papinę, ale na rewię, w której występuję. Dzięki jego determinacji mamy za sobą cztery spektakle, zaraz piątą premierę. Wspiera nas Julia Kamińska, ostatnio była Renata Przemyk. Nasze spektakle widziała masa znanych ludzi, m.in. Mariusz Kałamaga, Aldona Jankowska, Marta Żmuda Trzebiatowska, Arek Kłusowski. Kasia Nosowska zaprosiła nas na swoją trasę koncertową. Fajnie, że ludzie widzą w nas potencjał. Dzięki temu czujesz, że warto to robić.

Relacje i reakcje

– Moja rodzina nie ma z tym problemu, od zawsze wiedzieli, że lubię się bawić w teatr. Wiedzą, że idę do pracy. Zresztą nie mam parcia, żeby ktoś mnie akceptował. Nikt mi pieniędzy na życie nie daje, więc jak nie chcą, nie muszą mnie akceptować. Plus jest ten, że mam naprawdę fajną rodzinę. To szczęście, którego nie wszystkie drag queens doświadczają.

– A miłość?

– Mój chłopak bardzo mnie wspiera. Z Oskarem poznaliśmy się, co wydaje się trochę śmieszne, przez gazetę. Miałem wywiad w „Wyborczej”. Zadano mi pytanie: „Jaki jest twój wymarzony partner?” Po czterech miesiącach Oskar napisał do mnie na Facebooku, że przeczytał wywiad i chce się ze mną spotkać. Na dzień dobry przyniósł piórko, które mi spadło podczas występu. Tak że dobrze wiedział, kogo bierze. Oskar od dwóch ostatnich rewii z nami tańczy.

Lubię występować w klubie, to taka nasz kolebka kulturowa. Wiesz, występujemy na scenie, coś się dzieje, ale tak naprawdę jesteśmy dodatkiem. Ludzie rozmawiają, tańczą. Wszyscy mają cię w dupie. Teatr to inna bajka. Ludzie przychodzą na nasze rewie dla nas, by nas podziwiać, słuchać. Chociaż początki były bardzo trudne. Po pierwszej rewii nasz producent musiał sprzedać mieszkanie, żeby móc zrobić drugą edycję. Henryk mocno się poświęcił. Po trzech latach sale są stale wypełnione. Ostatniego sylwestra spędziliśmy w Paryżu, na zaproszenie Teatru Elisabeth Czerczuk. Okazało się, że publiczność świetnie zna „Niech żyje bal” Maryli Rodowicz.

Całe szczęście – odpukać w niemalowane – że nie miałem jeszcze żadnej przykrew sytuacji. Telewizja też mi w tym pomogła. Przy pierwszym sezonie „All together now” faktycznie pojawiał się ten hejt, ale tylko w internecie, nigdy na żywo. Przy kolejnym sezonie to już nawet internet się uspokoił.

– Co powiesz o nagłówku z pewnego portalu: „Widzowie oburzeni. Dewiacje i patologia w Polsce”?

– Fajnie napisane, całkiem chwytliwe hasło. Każdy kliknie. Ludzie nie widzieli programu, nie wiedzą, jaka jest rola Papiny w tym show, a mimo to komentują. Nie rozumiem tego. Być może kierują się uprzedzeniami, może kiedyś widzieli słaby drag gdzieś w internecie. Hejt, który się na mnie wylewał, sprawi, że ludzie się do tego przyzwyczają. Inne drag queens, które pojawiają się w telewizji, będą miały łatwiej. Tłumaczę sobie, że jestem po coś (śmiej). Awangarda polskiej telewizji. Zabawne pozostaje to, jak ludzie podchodzą do ciebie po programie, przeważnie dzieciaki, 12-16 lat, chcą zrobić sobie zdjęcie, przynoszą prezenty. To bardzo słodkie, społeczeństwo się zmienia.



Paweł bez kostiumu nie lubi występów na scenie.

– Jako facet miałbym problem, żeby wyjść i zrobić stand-up, ale jako Papina nie mam. Papina to moje alter ego, dziecko, dzięki któremu mogę się artystycznie rozwijać. Rozwijam się jako standuperka, ale jest to trudne. Trzeba być wiecznie skoncentrowanym i na tekście, i na reakcji publiczności. W jednym ze spektakli padło pytanie „To czego się pan napije?”. A mężczyzna z publiczności odpowiedział, że kawy. Ja na to: „Proszę bardzo, tam jest bar, można skorzystać”. Jestem już w zupełnie innym fragmencie tekstu, kiedy ten wchodzi na scenę z dwiema kawami. Musiałem szybko wymyślić, co zrobić, by zachować występ w ryzach.

Drag po polsku

– Ehhh – Paweł wdycha na pytanie o polską scenę drag queens. – Na wstępie chcę przeprosić moje koleżanki (śmiech). To jest jak ze wszystkim. Są lekarze i lekarze, są malarze i malarze, są drag queens i drag queens. W Polsce jest może dziesięć fajnych osób. Odnoszę wrażenie, że ludzie, którzy się tym zajmują, traktują to jako zabawę. Na zasadzie: „A widziałam to w telewizji, też się przebiorę”, i niektórzy od początku wyglądają całkiem dobrze, ale nie mają potrzeby pójścia z tym dalej, do teatru, robienia monologu, śpiewania. Tylko występowanie dla siebie. W Polsce osobom, które się przebiorają, chłopcom w sukienkach wydaje się, że są drag queens. No nie są. To po prostu chłopcy w sukienkach. Brakuje im pomysłu na siebie i determinacji. Trzeba zainteresować swoją postacią. To jest tak: przez pierwszych 10 sekund ludzie patrzą, jak wyglądam, jakie mam buty, jaką perukę. Przez następnych 10 sekund patrzą na penisa, gdzie jest schowany, że tam naprawdę nic nie widać. Potem przez 10 sekund spoglądają na biust. I to jest już 30 sekund piosenki.

Kiedy zdecydowałem, że na poważnie zajmę się dragiem, powiedziałem sobie, że rzucam pracę w księgowości i będę zarabiał wyłącznie artystycznie. Na początku było trudno. Początkującemu chłopcu brakuje marki, znajomości. Kto kogoś takiego w klubie zatrudni? No nikt. Moje pierwsze występy były wyłącznie za free. Nie nazwałbym tego nawet występami, ale raczej przebiegankami. Teraz mam to szczęście, że pracuję w telewizji, dlatego mogę powiedzieć z pełnym przekonaniem, że żyję z dragu.

– Właśnie, pieniądze. Ile zarabia drag queen?

– Większość drag queens twierdzi, że w Polsce nie da się z tego utrzymać. Ja mówię: da się. Robię teatr i telewizję. Gdybym pracował jedynie w klubach, z jednego występu nie wystarczyłoby to nawet na perukę. To są pieniądze około 400 zł. Istnieją też kluby, które płacą nawet 700-1000 zł. W rewii dzielimy się wszystkimi zyskami po równo, to mniej więcej 400 zł za spektakl. Rzadziej gram stand-upy, gdzie zarobek to około 1000 zł, ale wtedy na scenie jesteśmy jedynie we dwoje. I jeszcze telewizja. Powiem tak: po jednym sezonie „All together now” mógłbym sobie pozwolić na rok nicnierobienia. Nie robię dragu dla pieniędzy. To moje hobby, które przynosi mi pieniądze, mogę wydać 1000 zł na perukę.

– Teraz...

– Wcześniej też nie miałem.



13

– Nawet jak nie miałeś grosza przy sobie?

– To szedłem wtedy do pracy, dorywczo do różnych zajęć, by zarobić na perukę, m.in. w kawiarni, w totalizatorze sportowym, w saloniku prasowym, ►

► w magazynie. Nie bałem się pracy. Na szczęście teraz nie muszę harować fizycznie, haruję w dragu, w telewizji. Nagrania trwają po 14 godzin. Siedź sobie w tych strojach i makijażu tyle czasu... Mam teraz atelier na utrzymaniu, bo się u siebie nie mieściłem. To horrendalnie drogi biznes, nie zliczę, ile rzeczy tu trzymam, a ile już wyrzuciłem.

– Horrendalnie, czyli?

– Można kupić perukę i buty za 10 zł, ale wyglądasz jak wyglądasz. Ja mam swojego perukarza w Londynie. Znają moje wymiary głowy, wiedzą, jakie lubię kolory. Za perukę z włosów pół prawdziwych muszę zapłacić około 700 zł. Cena wkładek nadających krągłości waha się od 500 do nawet 2000 zł. Na kosmetyki wydaję około trzech stówek miesięcznie.

– Dużo rzeczy już wyrzuciłeś, ale historyczną sukienkę trzymasz – ironizuję.

– Historyczna sukienka będzie teraz grała! W spektaklu „My way, my dream, my life!”. To będzie biografia Papiny i generalnie mojego dragu.

„Królowe” wchodzą do mainstreamu

– Zanim zaczął się cały ten hype na RuPaula [najpopularniejsza gwiazda dragu, gospodarz programu RuPaul's Drag Race – przyp. red.], to wszystko było bardzo niszowe. Teraz dzięki social mediom owa sztuka pozostaje bardziej dostępna. Gwiazdy Drag Race mają swoją trasę po Europie. W Paryżu wystąpili dla 40 tys. osób. No, ludzie! To są koncerty jak te, które robi Madonna czy Lady Gaga. Wiesz, o co chodzi? Widzimy facetów w damskich strojach, którzy robią playback z fajną oprawą graficzną! Ludzie po prostu mocno się wkręcili. To jest sukces marki. My w Polsce nie mamy niestety branżowej telewizji, która by emitowała takie programy. Niedługo ma ponoć wystartować OutTV Polska. Czekam na telefon od kogoś z tej stacji (śmiech).

JAKUB JANAS



„Zabierz mnie pod tamten dach...”

Aleksandra Świst

– W latach 70., gdy zaczynałem, praca goprowca w Bieszczadach była trudniejsza niż teraz. Nie mieliśmy do pomocy helikopterów, czterokołowców czy skuterów śnieżnych. Byliśmy zdani na własne nogi i narty – wspomina pan Augustyn

Podkarpacie. Właśnie tam, w Kąkolówce, małej wsi pod Rzeszowem, w której nie było prądu, drogi asfaltowej ani zwirowej, urodził się Augustyn Świst, kierownik biura turystycznego, przewodnik beskidzki i stary goprowiec, z wykształcenia fizyk. Wychowanie na terenach górzystych wywarło wpływ na jego drogę życiową i na to, kim jest obecnie. Jak sam twierdzi, warunki, w których dorastamy, oddziałują na nas podświadomie.

GÓRY

– Lubię góry. Lubię chodzić po górach. Ale lubiłem, bo teraz to już rzadko chodzę... Częściej oglądam je z dołu. To rodzaj fascynacji, która trwa – mówi pan Augustyn.

Owa fascynacja sprawiła, że trafił do Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego, gdzie jeszcze niedawno egzaminował przyszłych przewodników. Namówili go do tego koledzy z uczelni.

– Na pierwszym roku pojechaliśmy w Bieszczady i odtąd przez całe studia myślami byłem w górach. Korzystałem z różnych okazji do wyjazdów, mocno angażowałem się w organizację rajdów studenckich.

Ta pasja kolidowała nieraz z obowiązkowymi zajęciami na uczelni. Uwidoczniło się to zwłaszcza w chwili przygotowywania dyplomu magisterskiego.

– Miałem pracę doświadczalną z fizyki. Naświetlałem tam różne pasemka, rozszczepienia metali, ale zdenerwowała mnie prowadząca, bo kazała mi powtórzyć cały cykl, a to trwało trzy tygodnie. Codziennie. Za oknem piękna pogoda, koledzy w Bieszczadach, a ja mam w sali

siedzieć! Pomyślałem: „Niech se sama robi te badania...” (śmiech).

Zostawił laboratorium i wyjechał. Takim podejściem zamknął sobie drogę do pracy na uczelni, choć miał ku temu potencjał. Imponował wiedzą nie tylko z dziedziny fizyki. Był opanowany, spokojny i zabawny, a takich wykładów studenci doceniają.

– Po studiach zaproponowano mi pracę w turystyce studenckiej, o wiele lepiej płatną niż etat nauczycielki, mojej przyszłej żony.

Później przyszła praca w innych biurach turystycznych, aż w końcu powstał „Traper”, jego własna firma, gdyż koledzy ze Lwowa nie chcieli pracować z nikim innym, tylko z nim.

GOPR

– W latach 70., gdy zaczynałem, praca goprowca w Bieszczadach była trudniejsza niż teraz. Nie mieliśmy do pomocy helikopterów, czterokołowców czy skuterów śnieżnych. Byliśmy zdani na własne nogi i narty – wspomina pan Augustyn.

– Dzisiaj sprzęt jest refundowany. Wstępując do GOPR, dostajemy narty, kijki i wszystko, czego do takiej pracy potrzeba. Wtedy na ekwipunek mogli liczyć tylko ratownicy etatowi, będący w mniejszości. Dzisiaj podobnie – większość stanowią ochotnicy, którzy z ciężkiej pracy mają radość, satysfakcję i piękne widoki. Kiedyś człowiek musiał się sam we wszystko wyposażyć. A warto wspomnieć o tym, że chodziło o czasy, w których stało się w kolejkach po chleb i papier toaletowy.

Jedyną gratyfikacją okazywały się tzw. delegacje rozliczane przez goprowców ochotników jadących na dyżur: zwrot kosztów dojazdu i diety. Za taką dietę udawało się nieraz kupić podstawowe artykuły spożywcze i wyżywić się w goprowce.

Do porozumiewania się w górach służyły tzw. klimki, krótkofalówki, z których korzystały również policja i pogotowie. Pojawiły się we wczesnych latach 60., znacznie ułatwiały ratownikom pracę, używano ich do 1975 roku. ►



► Nazwa wzięła się od nazwiska pierwszego tatrzańskiego ratownika Klimka Bachledy.

Pan Augustyn wspomina zabawną historię związaną z tym urządzeniem. „Klimki” działały na określonych falach radiowych.

– W Bieszczadach były takie miejsca, że ten sygnał łapały, ale były i takie, że nie. I na dobrą sprawę wszyscy mogli odbierać informacje. Korzystający z „klimków” nieraz uprzedzali innych, że naczelnik jedzie na inspekcję. Kiedyś, gdy znajdowałem się na Połonie Wetlińskiej, Centrala przekazała komunikat: „Uważajcie, bo jedzie do was tam na inspekcję stary!”. Najpierw łączyło się tak: „Centrala do Połoniny! Słyszysz mnie?”. Połonina: „No słyszę cię!”. I wtedy dotarł ten komunikat o „starym”. Zaraz potem w słuchawkach zagrzmięło: „Ja ci dam, kurwa, stary! Ja ci dam stary!”. Bo naczelnik znalazł się akurat w takim miejscu, gdzie łapało... (śmiech).

Augustyn Świst przytacza jeszcze jedną historię związaną z przełożonym (już innym) i akcją, sprzętem do zwożenia rannych i poszkodowanych zimą. Do dziś się z nich korzysta i można je spotkać na narciarskich stokach.

– Pewnego razu w ramach ćwiczeń zwoziliśmy na akii naczelnika. Wydzierał się na nas i kazał się zwieźć. Wtedy z całej grupy najlepiej jeździł Edek Stasiczak i ja. Edek mówi tak: „To jedziemy, wiesz, tu, pod kolejką, żeby człowiek zobaczył kawałek przepaści”. No i tak pojechaliśmy: ostro, po bandzie. Naczelnik był przywiązany, a mimo to ze strachu trzymał się kuczowo! A po przejeździe powiedział: „Kurwa, ja wam pokażę... Śmierć to widziałem ostatnio w czasie wojny!” (śmiech).

W Bieszczadach czy Beskidach rzadko zdarzają się trudne akcje ratunkowe. To nie wysokie Tatry z niebezpiecznymi ścianami. Ale i w tych niższych zdarzają się wypadki i zaginięcia – wtedy na pomoc ruszają ratownicy.

Augustyn Świst pamięta akcję, gdy dwa dni bezskutecznie szukali chłopaka, który odłączył się od grupy. Przerwali pracę po dokładnym przeczesaniu terenu. Parę dni po tym wydarzeniu zadzwonił do nich poszukiwany i przeproszał, że dopiero teraz się odezwał, ale wcześniej nie miał dostępu do telefonu. Okazało się, że odłączył się od grupy, gdyż zatęsknił za dziewczyną mieszkającą w jednej z wiosek...

Inne przypadki to głównie zwichnięcia czy ukąszenia przez żmiję, czyli tak zwana rutyna dla każdego goprowca.

– Dziś młodzi goprowcy są tak samo zaangażowani w pomoc jak my przed laty. Wiedzą, że idą pomagać lu-

dziom – odnaleźć zagubionych, ratować tych, którzy ulegli wypadkowi, i ostrzegać przed niebezpieczeństwami. Kierują nimi te same motywy, tylko trochę łatwiej im, bo mniej mają fizycznej pracy i lepszy sprzęt. Myśmy musieli na Połonie Wetlińskiej do goprówki wnosić paliwo do agregatu (żeby mieć prąd) w kanistrze na plecach. Teraz wszystko się wywozi quadem. Nasza praca w dużym stopniu opierała się na dobrej kondycji fizycznej i pod tym względem moje pokolenie było z pewnością silniejsze.

PRZEWODNICTWO

Pan Augustyn jest także przewodnikiem górskim, a od kilkunastu lat egzaminatorem komisji przewodnickiej. Jego obserwacje są jednak mało optymistyczne:

– Odnoszę wrażenie, że kandydatom coraz mniej zależy na zdobywaniu wiedzy niezbędnej do stania się przewodnikiem. Nie wykazują też szczególnego zainteresowania tym, by dobrze poznać teren. Niby skończą kurs, ale później niewiele szuka pracy w biurach turystycznych, PTTK czy harcerstwie. Jest to w pewien sposób związane z innym niż dawniej podejściem do turystyki górskiej. Kiedyś organizowano więcej wycieczek, potrzebnych więc było więcej przewodników. Dopóki funkcjonował fundusz socjalny, dopóty zakłady pracy organizowały wycieczki, często przez biura turystyczne, a nie na własną rękę. W tamtych czasach funkcjonowały określone stawki dla przewodników, dzisiaj tego nie ma.

Sporo również zmieniła reforma ustawy o usługach turystycznych. Dziś ustawa mówi o tym, że przewodnik beskidzki jest konieczny dla grupy, która idzie w góry powyżej 1100 m n.p.m. Kiedyś system szlaków znali przewodnicy – teraz wszystko jest w internecie. Poza tym ludzie zrobili się wygodni!

I na przykład chodzą w klapach nad Morskie Oko.

– To można jeszcze zrozumieć, bo jest tam droga asfaltowa. Jednak na Tarnicę czy Połonie nie wejdzie się w byle jakich bucikach. Brak wyobraźni prowadzi do niepotrzebnych, głupich wypadków – podkreśla Augustyn Świst. – Turystów świadomych jest coraz mniej. Żeby spotkać turystę plecakowego, takiego idącego od schroniska do schroniska, trzeba się po górach nachodzić – dodaje ze śmiechem.

Można w tym śmiechu dostrzec jakieś pobłażanie dla obecnej sytuacji, ale i smutek, tęsknotę za tym, co minęło.

Na koniec pytam, czy najlepsze wspomnienie ze studiów wiąże się z górami:

– No przecież, w górach poznałem żonę! – śmieje się Augustyn Świst.

Na nią zawsze może liczyć. I dla niej, i dla niego słowa piosenki Seweryna Krajewskiego: „Więc zabierz mnie do tamtych miejsc... Więc zabierz mnie pod tamten dach... gdzie cisza gra...” mają ten sam sens. Nie ma wątpliwości, że chodzi o góry.

ALEKSANDRA ŚWIST

Skrwawione runo lasu

Wracam wspomnieniami do historii, którą opowiedział mi ks. Jan, i do tego, co mi dopowiedział Kazimierz Orzeł. Do mojej babci i dziadka, którzy współpracowali z partyzantami. I do materiałów, które znalazłem na płycie CD

Artur Orzeł

„Umówiłam Cię na spotkanie z ks. Janem” – napisała mi w SMS-ie katechetka z okolicznej szkoły.

Poczułem się wyróżniony. Starszy i podupadły na zdrowiu kapłan zgodził się na rozmowę, choć w ostatnim czasie rzadko przyjmował gości. Pojechałem w umówiony dzień na plebanię. Otworzył mi proboszcz, wysoki, postawny mężczyzna, który powitał mnie tubalnym głosem. Przedstawiłem się i wyjaśniłem powód wizyty.

Proboszcz z zakłopotaniem spojrzał na mnie i powiedział, że ks. Jan chwilę wcześniej poczuł się źle, musiał się położyć i nie może rozmawiać. Zapropował przełożenie spotkania na inny termin.

Tydzień później znowu stanąłem przed drzwiami plebani. Wpadł akurat Wielki Czwartek, dzień, który wielu uznaje za nieoficjalne święto księży. Usiadłem w salonie przy dużym stole. Po chwili usłyszałem cichy szmer dobiegający z korytarza. Nadchodził ks. Jan.

Poruszał się powoli, z trudem, przy pomocy laski. Mimo starczego wieku i wyraźnego cierpienia wyczuwało się w nim ogromną siłę ducha. „Prawdziwy świadek historii” – pomyślałem.

Byłem dla niego zapewne jednym z wielu natrętów, których przyjmował z wielką cierpliwością, póki starczało sił. W jego zachowaniu dało się zauważyć, że ma w sobie poczucie misji i chciałby przekazać kolejnym pokoleniom coś ważnego, opisać to z perspektywy uczestnika i świadka dramatycznych fragmentów naszej historii.

Siedział przede mną schorowany człowiek, który doznał represji ze strony Urzędu Bezpieczeństwa, a członkowie jego rodziny ginęli w imię Ojczyzny. Rok po naszym spotkaniu ks. Jan odszedł do wieczności. Przypuszczam, że byłem jedną z ostatnich osób, które z nim rozmawiały o historii.

Ks. Jan był w Limanowej rozpoznawalną postacią – to on wybudował kościół parafii, w której spędził ostatnie lata życia. Wszystko zaczęło się w latach 70. Włodarzom miasta

zamarzył się nowoczesny zajazd turystyczny, wybrano nawet lokalizację przy ruchliwej drodze prowadzącej w stronę Nowego Sącza. Miała to być wizytówka miasta.

Gdy już wszystko zostało dopięte na ostatni guzik, niespodziewanie nastąpił w sprawie zwrot o 180 stopni. Władze zadecydowały, że zajazd powstanie w innym miejscu. Było to dla wszystkich wielkim zaskoczeniem. Do władz dotarła bowiem informacja, że na drugim końcu Limanowej ks. Jan, jako osoba prywatna, postanowił kupić działkę od państwa Michurów i na niej zbudować kościół. Zdobył nawet urzędowe potwierdzenie, że w tym miejscu budowa jest możliwa.

Do akcji wkroczyli wówczas pracownicy Urzędu Miasta, którzy poinformowali księdza, że ów grunt jest przeznaczony na cele rekreacyjno-sportowe i został już kupiony. Za jakiś czas zamiast kościoła na działce rzeczywiście wyrósł zajazd. Ks. Jan nie dał jednak za wygraną i po przeciwnej stronie płynącej nieopodal rzeki wznosił piękną świątynię.

Budowę zajazdu ukończono w 1978 r. Mieszkańcy Limanowej wspominają, że stał się on miejscem wielkiej rozpusty. Urzędowały w nim prostytutki, a alkohol lał się strumieniami. Niespełna rok po jego oddaniu doszło tam jednak do wielkiej tragedii. W zajeździe wybuchł pożar, o którym mówi się, że był największy w historii miasta. Według świadków płomienie sięgały nawet stu metrów. W akcji ratowniczej zginął strażak, na którego zawałił się komin. Wśród gapiów dało się słyszeć głosy mówiące o karze boskiej i przekleństwie tego miejsca.

Cień podejrzania padł wtedy na ks. Jana. Był przesłuchiwany przez SB i milicję w sprawie podpalenia lub podżegania do tego innych. Niczego jednak nie udało się duchownemu udowodnić. Miejsce po zajeździe zostało wykupione przez prywatnego właściciela, który na pogorzelisku postawił duży, betonowy budynek.

Sprawa ucichła do czasu, gdy w 1994 roku byli właściciele gruntów, państwo Michurowie, starsze małżeństwo, ►

- rzadko przez kogokolwiek odwiedzane, zostali brutalnie zamordowani. Sprawców tej zbrodni nie odnaleziono do dziś. Wśród mieszkańców Limanowej panuje przekonanie, że stojący w miejscu zajazdu budynek jest nawiedzony.

Ks. Jan urodził się i wychował nieopodal Limanowej, w małej wsi Żmiąca. Starsi mieszkańcy tej miejscowości wspominają pierwsze lata PRL-u, gdy na tym terenie dochodziło do krwawych strzelanin. Spotykam tu Kazimierza Orła, który wręczył mi płytę CD, prezent od miejscowego proboszcza. Znajdują się na niej pliki z materiałami Instytutu Pamięci Narodowej ze wspomnieniami mieszkańców wsi, planami akcji oraz protokołami z przesłuchań UB.

Razem idziemy do miejsca, do którego ks. Jan zawsze wracał z sentymentem, ale też i bolesnymi wspomnieniami. Spacerujemy po lesie. Jest cisza, słychać jedynie śpiew ptaków i delikatny szmer wiatru. Znajdujemy się na tzw. Limierzach. To mała część lasu, gdzie niegdyś znajdowała się fabryka, w której wypalano węgiel drzewny. Są tam około pięciometrowe skałki. Na niektórych widać dziury, ślady po strzałach z pistoletu.

Z „Limierzami” wiąże się historia żołnierzy należących do „Wojska Generała Andersa” założonego i dowodzonego przez Ludwika Zelka. Choć armia liczyła ledwie kilku członków, to jednak wśród mieszkańców Żmiącej miała blisko stu współpracowników. Ich celem była walka z komunistami.

Zelek, student Uniwersytetu Jagiellońskiego, a także nauczyciel w pobliskich Żbikowicach, już w czasie nauki został represjonowany za niepodległościową i antykomunistyczną działalność. Z tego powodu wrócił do rodzinnej Żmiącej, przerywając kształcenie. Wtedy też zgromadził kolegów i założył ściśle tajną organizację wojskową. Działali w ukryciu, pomagając mieszkańcom wioski w pracy, a także broniąc ich przed złodziejami oraz bandytami, którzy często okradali gospodarstwa domowe.

Do ujawnienia „Wojska Generała Andersa” doszło na początku marca 1947 r., kiedy to do Laskowej wrócił z Francji działacz komunistyczny Jan Jelonek. Ludwik Zelek, wraz z kolegami, udał się do niego w celu ostrzeżenia, by nie szerzył komunizmu w Laskowej oraz pozostawił w spokoju mieszkańców. Ich głównym zamiarem było odebranie mu broni. Jelonek, gdy tylko rozpoznał gości, wyszedł z pokoju, wziął broń i oddał strzały, raniąc Ludwika Zelka. Uciekającego przez otwór w dachu Jelonka zastrzelono, o czym błyskawicznie dowiedział się Urząd Bezpieczeństwa w Limanowej.

Rannego Ludwika Zelka przewieziono na plebanię w sąsiedniej Jaworznej, gdzie opatrzono świętymi sakramentami. Potem zabrano go na noszach do rodzinnego domu.



W drodze towarzyszyli mu koledzy: Kazimierz Augustyn i Kazimierz Bukowiec (jeden z braci ks. Jana), a także narzeczona Helena Bukowiec (obecnie Tokarz) i ciotka Anna Oleksy.

Idąc, widzieli już członków UB stojących na wzgórzu. Gdy dotarli na miejsce, funkcjonariusze natychmiast się zjawili. Nie było wtedy w domu Władysława Bukowca, jednego z członków wojska. Udał się on do szkoły w zastępstwie za rodziców, na wywiadówkę młodszego brata – ks. Jana. Mundurowi urządzili awanturę, brutalnie przesłuchiwali zranionego Ludwika Zelka oraz bili jego rodzinę i jej grozili. Potem zabrali go wraz z Kazimierzem Bukowcem na komendę do Limanowej.

Matce poszkodowanego drwiącym głosem powiedzieli, że: „zostanie wyleczony w jeden dzień”. Ludwik zdawał sobie sprawę z tego, jak wyglądają przesłuchania. Drżącym i słabym głosem szepnął wtedy do Kazimierza: „Nie zdradzę im nic!”.

3 marca 1947 r. Ludwik Zelek został brutalnie zamordowany na komendzie UB w Limanowej. Razem z nim więziono Kazimierza Bukowca, jednak po miesiącu ciężkiego pobytu w więzieniu wypuszczono go. Komuniści nie pozwolili wydać ciała rodzinie Zelków, gdyż obawiali się manifestacji patriotycznych w czasie pogrzebu. Mimo to, dzięki znajomości rodziny Ludwika z pracownikiem prosektorium, udało się pod osłoną nocy, potajemnie pochować zwłoki zmarłego. Były całe zakrwawione. Trudno było znaleźć miejsce bez rany. O tym, jak bolesne to musiało być dla Ludwika, świadczyło wybite oko.

„Wojsko Generała Andersa” po stracie dowódcy musiało wyłonić następcę. Tego zadania podjął się Władysław Bukowiec. Ze względu na ujawnienie organizacji należało znaleźć dobre miejsce do ukrycia. Postanowili więc wybudować bunkier pod skałkami w lesie, na „Limierzach”.



Miejsce okazało się doskonale zakamuflowane. Prowadziły do niego dwa wejścia. Bunkier wykopany na głębokość 3-4 m miał dwa pomieszczenia: kuchnię oraz miejsce do spania. Był porośnięty gęstymi paprociami.

Ukrywali się tam przede wszystkim Władysław Bukowiec oraz Kazimierz Augustyn. Czasami gościli w nim Stanisław Salabura, Jan Zajac, Stanisław Wideł oraz do czasu śmierci w 1949 r. kuzyn Władysława Wincenty Bukowiec. W całej wsi odbywały się wówczas poszukiwania żołnierzy, a także rewizje tzw. melin, czyli domów, w których mogli ukrywać się partyzanci.

Urząd Bezpieczeństwa Publicznego oraz Milicji Obywatelskiej uznawał Władysława Bukowca oraz Kazimierza Augustyna za największych bandytów. Chciano się ich jak najszybciej pozbyć. Funkcjonariusze służb przychodzili wczesnym rankiem do domów i wyrwali deski z podłóg, szukając żołnierzy. Często strzelali do stogów siana, gdzie mogli się znajdować poszukiwani. Ich wizyty należały do niezwykle brutalnych i agresywnych. Starsi mieszkańcy Żmiącej, do tej pory wspominając te wydarzenia, mówią o nich ze strachem i niepokojem.

Obrazy wracają w postaci koszmarów sennych. Były to niezwykle traumatyczne przeżycia dla prostych i niewinnych ludzi.

Bunkier na „Limierzach”, mimo dobrego kamuflażu, został odkryty przez donosicieli. Na początku września 1950 r. Władysław Bukowiec przyszedł po kryjomu do rodzinnego domu, by spotkać się z matką oraz pożegnać Jana, młodszego brata, który wyjeżdżał na studia do Seminarium Duchownego w Tarnowie. Nie wiedział, że będzie to jego ostatnie spotkanie z bliskimi. Zabrał ze sobą bochenek świeżego chleba i wrócił do kryjówki.

7 września wczesnym rankiem Władysław udał się do pobliskiego potoku, żeby odbyć poranną toaletę. UB oraz MO opracowały jednak plan, według którego funkcyj-

riusze mieli otoczyć bunkier w nocy i czekać, aż ktoś go opuści. Gdy zauważyli Władysława Bukowca, oddali serię strzałów z automatu w klatkę piersiową.

Jak relacjonował to wydarzenie Kazimierz Augustyn, który obserwował wszystko z ukrycia, Władysław wykrzyczał przed śmiercią słowa: „Jezus, Maria – czegom się doczekał?!”. W ręce trzymał zaciśnięty różaniec, a przy sobie miał chleb, który zabrał z domu podczas ostatniej wizyty.

Pieczyno to zostało później wykorzystane do śledztwa, gdyż każda gospodyni miała swój własny, uniwersalny przepis. Porównując chleb Władysława z chlebami innych mieszkańców Żmiącej, funkcjonariusze chcieli odnaleźć gospodarzy, którzy współpracowali z żołnierzami.

Kazimierz Augustyn, przebywający podczas strzelaniny w bunkrze, zdołał zbiec i ukryć się w lesie. Przez długi czas poszukiwany był jako jeden z najniebezpieczniejszych wrogów komunizmu w rejonie powiatu limanowskiego. On jednak dołączył do innej brygady żołnierzy z Sądecczyzny i zginął pod Nowym Sączem w 1953 r.

Ciało Władysława Bukowca pozostało w lesie, a jego zabójcy poinformowali rodzinę o zgonie. Nakazali Kazimierzowi, bratu zastrzelonego, pojechać furmanką i zabrać zwłoki. Jego klatka piersiowa była podziurawiona od strzałów. Zmarły miał także postrzeloną nogę, aby upozorować, że śmierć nastąpiła w trakcie ucieczki.

Kazimierz Bukowiec dostał nakaz przejazdu przez całą wieś z ciałem brata widocznie ustawionym na wozie. Miało to być przestrogą dla innych, by pokazać los „bandytów” przeciwstawiających się komunizmowi.

Urząd Bezpieczeństwa dopilnował tego, by rodzina nie mogła pochować Władysława Bukowca. Zwłoki zostały zakopane bez pogrzebu w nieznanym miejscu w Limanowej. Uważa się, że zasypano je ziemią w pobliżu dzisiejszej stacji benzynowej w dzielnicy Sowliny, gdzie proboszczem i budowniczym kościoła był ks. Jan.

Bunkier pod skałkami na „Limierzach” nie przetrwał, gdyż chwilę po tych tragicznych wydarzeniach został zniszczony wybuchem granatu. W jego miejscu znajduje się krzyż upamiętniający poległego za Ojczyznę z rąk UB Władysława Bukowca. Na skałach leżących w pobliżu bunkra pozostały wybite ślady po kulach z pistoletu.

Oprócz wspomnianego krzyża w Żmiącej znajduje się kapliczka z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej upamiętniająca rodaków poległych w czasie komunizmu, ufundowana przez Michała Rogalskiego ps. „Mira”, który przez pewien okres czasu współpracował ze żmiąckimi partyzantami. Właśnie tam, co roku od trzydziestu lat, wierni gromadzą się na uroczystych

- mszach w intencji zmarłych żołnierzy. Na tablica pamiątkowej widnieje napis:

„«Miłujcie się wzajemnie jak ja was umiłowałem» (Jan 15-12).

Pod Twoją obronę uciekamy się

Święta Boża Rodzicielko Królowo Polski!

Święty Michale Archaniele broń nas w walce!

Na podziękowanie Panu Bogu za ocalenie i szczęśliwe przetrwanie tutaj okupacji oraz ku pamięci poległych za Ojczyznę kolegów, błagając Panie zbaw ich dusze!

Władysław Bukowiec Wincenty Bukowiec Kazimierz Augustyn Ludwik Zelek Fundator Michał Rogalski Mira”.

Miejsce śmierci Władysława Bukowca na „Limierzach” pozostaje ogólnodostępne. Chociaż jest w prywatnym

lesie, to jednak jego właściciele pozwalają je odwiedzać, gdyż nie chcą, by pamięć o bohaterach oraz ich współpracownikach kiedykolwiek zginęła.

Stojąc na szczycie skałki, obserwuję okolicę. Próbuję odtworzyć w wyobraźni wydarzenia mające tu miejsce w dawnych latach. Wracam wspomnieniami do historii, którą opowiedział mi ks. Jan, i do tego, co mi dopowiedział Kazimierz Orzeł. Do mojej babci i dziadka, którzy współpracowali z partyzantami. I do materiałów, które znalazłem na płytce CD.

Ks. Jan bardzo chciał, by przypominać o tej tragicznej historii i bohaterstwie ludzi, którzy stanęli do beznadziejnej walki z komunistami o wolną Polskę i nie wahali się, gdy trzeba było oddać życie za Ojczyznę.

ARTUR ORZEŁ



OPOWIEŚCI różnej treści

Agnieszka Ochmańska

– Salon fryzjerski jest takim miejscem, w którym ludzie opowiadają różne historie o życiu, rodzinie, zdrowiu i zwierzają się ze swoich sekretów. Traktują mnie trochę jak psychologa – mówi Marta

Na ul. Mazowieckiej w Krakowie dzień jak co dzień. Mieszkańcy Krowodrzy śpieszą się do pracy, niektórzy spacerują ze swymi pupilami. Przez remonty w Krakowie tworzy się uciążliwy dla kierowców korek.

W ten stały rytm wpisuje się Marta, która punktualnie o dziewiątej rano otwiera tu swój niewielki salon fryzjerski. Ma pięćdziesiąt lat i trzydziestoletni staż pracy.

Salon jest urządzony skromnie. Dwa stanowiska do strzyżenia, aparat suszący włosy, myjnia, pomocnik fryzjera, w którym znajdują się wszelkie przybory. Przy oknie ławeczka dla oczekujących, obok niej stolik z kolorowymi czasopismami.

– *Od dziecka chciałam coś tworzyć, czesać lalki, peruki cioci. I już po szkole podstawowej wiedziałam, że zostanę fryzjerką* – wspomina Marta. – *Wtedy, w latach 70., żeby trafić do tego zawodu, należało skończyć szkołę zawodową. Fryzjerski profil znajdował się w placówce mieszczącej się przy ul. Agnieszki 5. Przez trzy lata równocześnie odbywała się praktyczna nauka zawodu. Kończyło się to dwuczęściowym egzaminem czeladniczym. Praktyczną część zdawałam u znanego fryzjera, a teorię w Cechu Rzemiosł Różnych. Po egzaminach mogłam zacząć samodzielną pracę przy fotelu. Zbierałam doświadczenia w różnych zakładach, aż w końcu otworzyłam swój salon. Od piętnastu lat pracuję u siebie* – dodaje Marta.

W salonie czekają już klientki umówione na godzinę dziewiątą, ale przychodzą też panie, które nie ustalały wcześniej terminu. Marta proponuje inny dzień albo prosi, by przyszły za godzinę lub dwie.

– *Niektóre nie wierzą, że jest tyle osób zapisanych na konkretne terminy, i chcą mi wręcz zajrzeć do kalendarza, co przeszkadza, gdy akurat przygotowuję farbę, którą mam nałożyć klientce.*

Akurat dzwoni telefon.

– *Odbieram telefony, rozmawiam krótko i rzeczowo, umawiając się na kolejne terminy, aby przygotowany*

wcześniej kolor się nie utlenił. Zdarza się, że wkładam rękawiczki, mam już nałożyć farbę, a tu znowu dzwoni telefon. Wtedy nie odbieram. Stałe klientki wiedzą, że jestem zajęta, i oddzwaniają później albo ja dzwonię do nich – opowiada Marta.

Coraz częściej panie w trakcie omawiania, jaka ma być fryzura, pokazują na smartfonach zdjęcia modelek.

– *To dla mnie podpowiedź, czego klientka oczekuje. Podczas rozmowy czasem modyfikujemy te pomysły, by fryzura jak najlepiej pasowała do konkretnej osoby. I dochodziemy do porozumienia.*

Do godziny siedemnastej Marta przyjmuje od ośmiu do dwunastu osób, ale zdarzają się dni, gdy klientów jest więcej.

– *Cały czas mam wypełniony. Ledwo coś zjem i wypiję.*

– *Salon fryzjerski jest takim miejscem, w którym ludzie opowiadają różne historie o życiu, rodzinie, zdrowiu, zwierzają się ze swoich sekretów. Traktują mnie jak psychologa* – mówi Marta.

Wyjątkowo skory do zwierzeń był pewien człowiek, który przyszedł do strzyżenia i powiedział, że jest po jednym piwie.

– *Zgodziłam się go przyjąć, bo nie wyglądał na pijanego. Podczas strzyżenia zaczął opowiadać o rodzinie, o sobie. W pewnym momencie powiedział, że jest impotentem. I się rozplakał. Podałam mu chusteczki, po chwili się uspokoił, ale wstał z fotela i upadł. Przestraszona, myślałam, że stało się coś poważnego, a on po prostu był tak pijany. Ale ogólnie klienci są mili, życzliwi.*

Wyjątkowym wyzwaniem jest przygotowanie fryzury ślubnej.

– *Czesałam kiedyś pannę młodą. Wszystko zostało wcześniej uzgodnione. Przyszła z fotografem, który robił duże zamieszanie, mówiąc, że mam się czuć swobodnie. Przeszkadzało mi to bardzo, ponieważ ustawiał swój sprzęt, chciał zrobić sobie dobre warunki do pracy i nie* ►



► *liczył się z moim zdaniem. Godzinę pracowałam nad fryzurą, potem zjawiła się rodzina, która komentowała efekty mojej pracy. Mama i ciotka były zadowolone, tylko ojciec stwierdził, że kok jest za wysoko.*

Powiedziałam, że nie zmienię tej fryzury, bo jest w porządku. Najważniejsze, że młodej się podobała.

W salonie często dochodzi do rozmów o polityce.

– *Kiedyś klientka opowiadała mi, że była przed chwilą w kościele modliła się o to, by wnuk zdał maturę. Potem siedziała i czekała, bo jej włosy się koloryzowały, a pan, który przyszedł się ostrzyć, zaczął komentować obecną sytuację polityczną. Wtedy stało się coś zaskakującego. Starsza pani wstała i oburzona, zaczęła na niego krzyczeć, prawie wymachując rękami: „Jak pan może tak myśleć! W końcu dopiero teraz jest dobrze! Nikt tyle ludziom nie dawał, co ta władza!”. Klient nie dał się wciągnąć w awanturę. Potem przeprosił mnie, że poruszył taki temat. Wiedział, że w takiej sytuacji ja nie mogę stanąć po żadnej stronie – tłumaczy pani Marta.*

Polityka stała się ostatnio częstym i drażliwym tematem.

– *Zauważyłam też, że ludzie chętniej niż dawniej mówią o swojej wierze. Głośno wyrażają swe przekonania, panie przynoszą gazety, które mi polecają. Jedna dała mi swoje ulubione czasopismo z podkreślonymi artykułami, które powinienam koniecznie przeczytać.*

W salonie można obserwować, co budzi w ludziach emocje, jak zmieniają się ich poglądy i życie wokół nas. To także

miejsce, w którym trzeba być na bieżąco z nowymi trendami w modzie i spełniać różne, nawet najbardziej ekstrawaganckie życzenia klientów.

Gdy siedzę i przyglądam się pracy Marty, jedna z klientek prosi o podgolenie karku i boków.

– *To niebanalne uczesanie, które zaraz wykonam, nazywa się pixe – tłumaczy Marta i dodaje:*

– *Współczesne kobiety chcą być wyjątkowe, nietuzinkowe, mieć swój styl. Dbają o prezencję. Pragną podkreślić indywidualność, wyróżnić się spośród tłumu. Mają odwagę decydować się na irokezy lub geometryczne fryzury. Niedawno pojawiła się moda na kolorowe włosy – różowe, zielone, fioletowe czy granatowe. Nastąpiła zmiana w kolorystyce włosów.*

Są też klientki, które podchodzą do swoich fryzur bardziej tradycyjnie, ale zachęcane do zmiany wizerunku, decydują się na odważne stylizacje. Żeby nadążyć za oczekiwaniami klientek, Marta chodzi na szkolenia i pokazy, na bieżąco stara się śledzić nowe trendy i podnosić kwalifikacje z techniki strzyżenia i farbowania.

Zbliża się godzina siedemnasta. Wychodzi ostatnia klientka. Fryzjerka sprząta swój warsztat pracy.

– *Lubię klientów. Praca z nimi sprawia mi dużą satysfakcję, a każdy dzień przynosi coś innego i nowego. To moja pasja, sposób na życie – dodaje na koniec rozmowy.*

AGNIESZKA OCHMAŃSKA

Szewska pasja człowieka,
który nigdy nie był szewcem

Szuflady pamięci

Maria Majtyka

– Otworzyłem szufladę pełną zdjęć i powiedziałem do mojej mamy: przejrzymy to wszystko, póki ty jeszcze żyjesz, co tu zostawić, a co wyrzucić do kosza. Na tych zdjęciach byli wolbromscy szewcy. Zainteresowałem się, czy coś po nich zostało. Mama odpowiedziała, że chyba nic. Nerwy mnie na to wzięły, w każdym domu ktoś kiedyś zamawiał buty u szewca i nic, żadnych pamiątek po nich miałoby nie być? I tak to się zaczęło – wspomina Wiesław Kopeć, 61-letni mieszkaniec Wolbromia, który w swoim domu przy ul. Wyzwolenia stworzył prywatne muzeum.

Chociaż sam nie jest szewcem, szewstwo było i pozostaje jego pasją. Widać to po przedmiotach, które zgromadził, i słychać w jego opowieściach. Szewc w co drugim domu.

Poznałam go na VIII Festiwalu Ludzi Pozytywnie Zakręconych, na dziedzińcu Zamku Żupnego w Wieliczce. Prezentowali się tam różni ludzie zbierający wszelakie starocie, twórcy oryginalnych kolekcji przedmiotów dawno zapomnianych i nieużywanych.

Pan Wiesław przykuł moją uwagę niemal od początku. Z wielkim zaangażowaniem dzielił się wiedzą i przedstawiał oryginalne narzędzia ze swoich zbiorów. Umówiliśmy się, że przyjadę do Wolbromia, żeby poznać całą kolekcję i zgłębić temat, o którym niewiele wiedziałam.

Odwiedzam go w jego domu w sobotnie popołudnie. Muzealne eksponaty zdominowały całą piwnicę i z trudem się tam mieszczą, część musiał więc przenieść do przedpokoju. Ślady pasji widać także w pokoju, gdzie stoi biblioteczny regał. Nie brakuje tam książek o historii obuwia i rozwoju szewstwa, a zdobią go małe buciki wykonane z porcelany i z marcepanu.

Zainteresowania Wiesława Kopcia są mocno osadzone w tradycjach miasta. Wolbrom słynął niegdyś z wyrobów rzemieślniczych. Szewstwem zajmowali się zarówno Polacy, jak i Żydzi stanowiący do II wojny światowej niemal połowę mieszkańców. Zawód przechodził z ojca na syna, mówiło się nawet, że w co drugim domu był szewc.



W czasach władzy ludowej buty robione przez rzemieślników trafiały do osób prywatnych, sprzedawano je na jarmarkach, zamówienia składały też spółdzielnie. Interes się kręcił.

Z nastaniem III Rzeczypospolitej sytuacja się diametralnie zmieniła. Produkcję ręczną zastąpiły fabryki obuwnicze, a zawód szewca przestał być już tak atrakcyjny jak kiedyś. Wiele warsztatów zostało zlikwidowanych. Młotki, szpilorki i fartuchy

– Kolekcjonowaniem starych narzędzi i butów zacząłem się interesować mniej więcej 10 lat temu. Zdobywam je od starych szewców albo od rodzin zmarłych rzemieślników. Ludzie pozbywają się niepotrzebnych im już zabytkowych narzędzi i materiałów. Jeżdżę też na różne targi, gdzie za grosze skupuję rozmaite starocie. Tak kupiłem m.in. pantofelek ze słomy i jakieś młotki – opowiada pan Wiesław.

Rozpoczynamy oglądanie kolekcji.

– Tu ma pani szafę, na niej walizki. W każdej walizce coś jest. A tu są szuflady i w każdej szufladzie też coś jest. Ooo, w tej szufladzie jest pełno młotków; którykolwiek by się wzięło, to młotek szewski. Ludzie się dziwią, po co ich tyle. Jak to po co? Tylu szewców było w mieście i ma być jeden młotek w muzeum? – pyta gospodarz. – Młotek szewski musiał być solidny i mieć specjalną główkę, to nim szewc przybijał kołeczki lub gwoździe. A cholewkarz, który robił wierzchy, używał lżejszego młotka, którym rozklepywał skórę, żeby szwy nie uwierały.

Wiesław Kopeć otwiera następną szufladę i opowiada:

– To jest nakłuwacz zwany szpilorkiem. Ma napis na etykiecie: „Spółdzielnia Pracy w Częstochowie”, dzięki temu wiem, skąd do nas trafił. Kolejny szpilorek ma na końcu wbity igłę służącą do robienia dziurek w skórze. A to jest nóż do cięcia skóry. Proszę zobaczyć, jaki ostry, ale ostrożnie. Te wszystkie narzędzia mają po kilkadziesiąt lat.

W innej szufladzie leży m.in. ołówek:



► – Szewc brał go do ręki, wyciągał kartkę papieru i obrysowywał na niej stopę, dzięki czemu miał długość stopy. Po obrysowywaniu centymetrem krawieckim mierzył ją na podbiciu, żeby wiedzieć, jak dobrać kopyto. Kopyt zrobionych z drewna było dużo. Musiały być na różne stopy. Szewc miał ich cały worek i dopasowywał odpowiednie kopyto do wymiarów stopy. Gdy kopyto okazywało się za małe, wykonywał specjalne nadbicie na pięcie. Potem cholewkarz robił tak zwany wierzch. Skórę odpowiednio zszywano. Wcześniej musiała być rozprasowana i uformowana, by nie uwierzała w nogę – tłumaczy pan Wiesław.

Oglądam kolejne narzędzia zapakowane w pudełkach albo poukładane luzem. Dużo dziwnych, chropowatych przedmiotów – to oselki do ostrzenia noży służących do cięcia skóry. Obok leżą nożyczki do obcinania nici, z których korzystał cholewkarz.

Gospodarz podkreśla, że zgromadził cały domowy warsztat szewski, czyli wszystkie narzędzia do ręcznej produkcji butów.

– Szewc przychodził, zakładał fartuch, by nie brudzić się spodnie, siadał na taborecie i zabierał się do roboty. Fartuch oryginalny musiał być ze skóry. Gdy powstała spółdzielnia, pojawiły się także fartuchy z płótna. Buty nie do zdercia

– Tu mam regał, na którym leżą różne szewskie rzeczy. To są kierpce z drzewa, w nich znajdują się naparstki. Naparstek nakładało się na palec, by bezpiecznie przeciągnąć igłę przez twardą skórę. Do szycia używano dratwy, grubej nici, niekiedy ją smotując. Obok są różne prawidła do konserwacji butów. Kiedyś podpytywałem starych szewców i dowiedziałem się, że w butach wojskowych, tak zwanych oficerkach, zakładało się je jeszcze przed ukończeniem całego modelu buta, po to, by móc go odpowiednio uformować i zszyć. Prawidło otrzymywało się wraz z butami – opowiada gospodarz i dodaje:

– Dawniej buty się szanowało, były sztywne, odpowiednio dobrze wykonane, mogły służyć nawet przez kilkadziesiąt lat. Na przodzie i z tyłu przybijano blaszki, żeby chroniły przed zderzeniem. Buty robione ręcznie, z wykorzystaniem drewnianych kołków do łączenia wierzchu z podeszwą, były odporne na warunki atmosferyczne. Takie kołki, przypominające krótkie zapalki, pod wpływem wilgoci jeszcze mocniej trzymały.

W czasie I wojny światowej wzrosło zapotrzebowanie na buty wojskowe. Zaczęto wtedy stosować kleje, ich jakość zawodziła. Żołnierze siedzieli w okopach, a ich buty rozklejały się, nie wytrzymując panujących tam warunków. Tradycyjny sposób produkcji, z wykorzystaniem kołków, okazał się lepszy i przetrwał prawie do naszych czasów. Dziś dominują buty klejone, bo mamy do dyspozycji kleje wysokiej jakości.

Pan Wiesław odkłada na bok buty wojskowe, o których opowiadał, i pokazuje damski bucik. Widać, że był wiele razy naprawiany.

– To jest dowód na to, że butów się nie wyrzucało, tylko poddawano reparacji. Miały one swoją wartość, więc odpowiednio je konserwowano, czyszczono, pastowano, a do środka wkładano prawidło – narzędzie zabezpieczające jego wierzchnią część przed zdeformowaniem. Robota musiała błyszczeć

W muzeum dominują buty czarne i brązowe.

– To dlatego, że dawniej nie było takiej możliwości wyboru koloru jak dziś. Zamawiano głównie buty czarne lub brązowe. Niekiedy jeszcze białe, zarezerwowane na ważne uroczystości, takie jak Pierwsza Komunia czy ślub. Jednym z ostatnich etapów pracy nad butem, gdy ten był już prawie wykończony, miał podeszwę, skórę i obcas, było zaczernianie. Należało zadbać o kolor i błysk, robota musiała błyszczeć. Żeby osiągnąć taki efekt, stosowano m.in. wosk pszczeli – tłumaczy właściciel muzeum.

Szewc nie potrzebował kontroli jakości; żeby się utrzymać, musiał starannie wykonywać swoją pracę. Najlepsi swoje wyroby prezentowali na specjalnych targach i byli nagradzani medalami.

– Niekiedy łączono podeszwę drewnianą z wierzchem skórzanym, bo drzewo było tańsze i ogólnodostępne. Starsi ludzie pamiętają, jak w niedzielę niektórzy szli boso na mszę świętą, ale zarzucali buty na plecy i zakładali je dopiero pod kościołem. Nie bez powodu Wyspiański napisał: „Trza być w butach na weselu”...

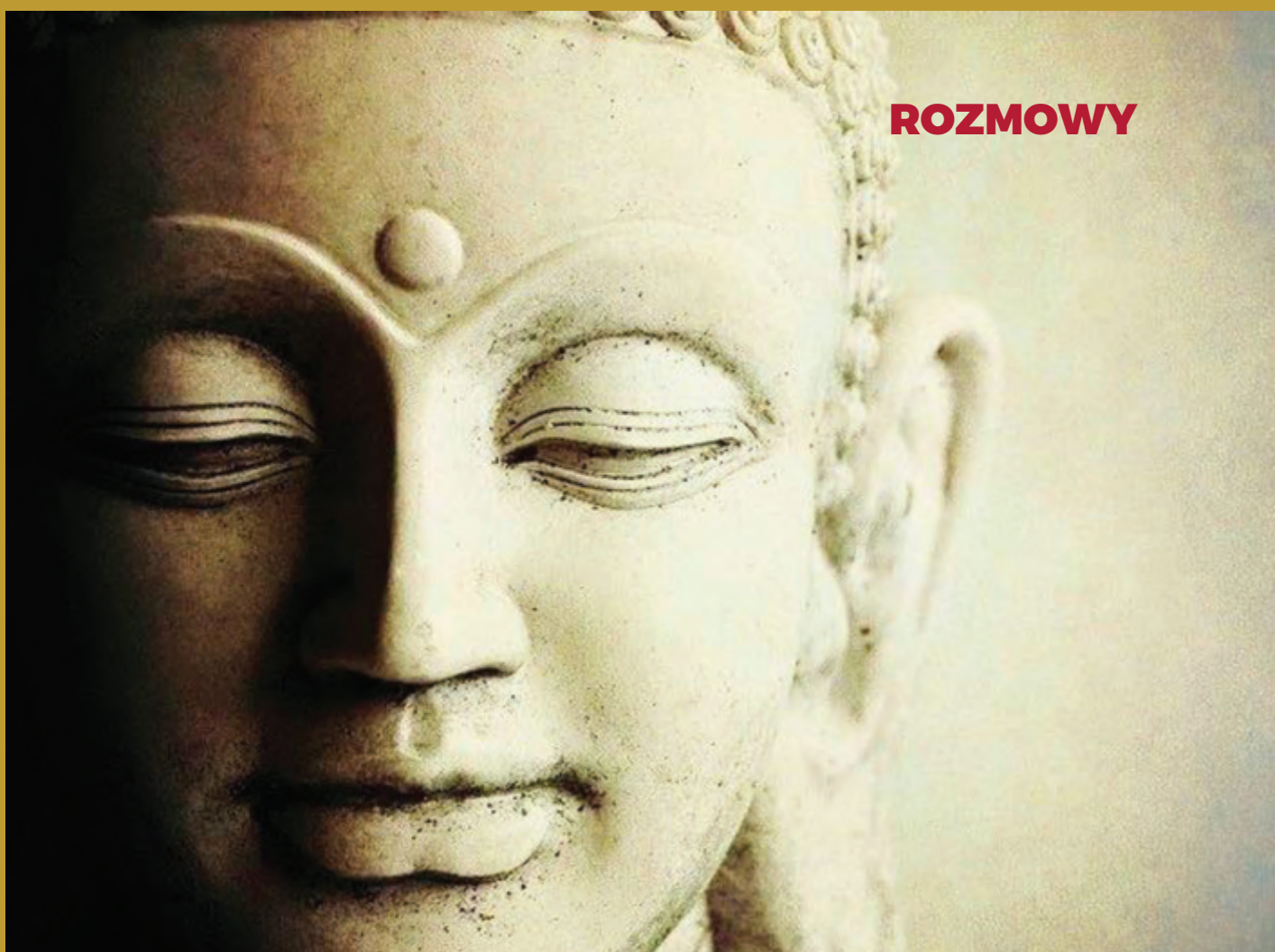
Oglądam kolejne eksponaty. Podziwiam skóry, fartuchy, przyrządy do skręcania liny skonstruowane własnoręcznie z drewna lub z kości, kopyta metalowe – ciężkie, ale bardzo stabilne, sprawdzające się przy reperacji buta. Wiele narzędzi ma oryginalne wzornictwo. Są klipsy do podtrzymywania skóry, drewniane wykrojniki służące do wykrawania skórzanego wierzchu, napiętki do zabezpieczenia tylnej części buta przed deformacją i noski przeznaczone dla szpica. W gablotach nie brakuje szczotek służących do czyszczenia butów i ich konserwacji.

Są także stare walizki, w których wożono buty do sprzedaży lub na pokazy. Mój rozmówca używa ich podczas wyjazdów w teren ze swoimi zbiorami.

Wiesław Kopeć sam prowadzi muzeum. Nie chce żadnego dofinansowania ani sprzedaży biletów, by nie mieć kłopotów z ich rozliczeniem. Jeździ na pokazy do szkół, by prezentować uczniom ginące rzemiosło. W różny sposób pragnie ocalić je od zapomnienia.

Jest takie przysłowie: Szewc bez butów chodzi. Pan Wiesław odwrotnie, nie jest szewcem, ale zgromadził imponujący zbiór przedmiotów, które szewcy wykorzystywali w pracy. I chętnie dzieli się swoją pasją z każdym, kto chce słuchać i oglądać.

MARIA MAJTYKA



- Już nie boję się marzyć

25

Rozmowa z Niką Mrozek, kobietą, która w wieku czterdziestu lat postanowiła przewartościować dotychczasowe życie, sprzedać cały majątek i wyjechać do Azji. W wyprawach towarzyszy jej wieloletni partner – Dragon

Rozmawiała: Anna Panikowska-Filipek

▪ **Piękna opalenizna, czyżbyś właśnie wróciła z podróży?**

– Tak, w zeszłym tygodniu przyleciałam z Nepalu.

▪ **Azja to najczęstszy kierunek twoich wyjazdów.**

– Tam czuję się najlepiej. Urzeka mnie mentalność tamtejszych ludzi, ich prostota, minimalizm.

▪ **Wiele cię z nimi łączy. Czy ów minimalizm miałas w sobie od początku czy musiaś się go nauczyć?**

– Przez większą część życia kupowałam zatrważająco dużo niepotrzebnych rzeczy – ubrań, butów, bibelotów. Wyobrażasz sobie, że gdy wyprowadzaliśmy się z naszego

krakowskiego mieszkania, doliczyliśmy się prawie trzech tysięcy książek? To przecież szaleństwo!

▪ **Ja też kupuję dużo książek i przyznam, że nie wyobrażam sobie, bym miała z dnia na dzień pozbyć się ich wszystkich...**

– Bo jak większość ludzi żyjesz w nurcie konsumpcjonizmu. A przecież wszystkie te książki mogłabyś wypożyczać w bibliotece. Albo kupić czytnik e-booków i mieć tysiące tytułów na wyciągnięcie ręki każdego dnia. Mnie też kiedyś nie mieściło się w głowie, że Europejka żyjąca w XXI w. może spakować cały dobytek do jednej torby podróżnej i małego plecaka. Wydawało mi się, że jest to dobre dla nomadów, a nie dla nas, „białych ludzi”, wykształconych, przyzwyczajonych do wygod i dobrobytu.

- **Co więc się stało, że stateczna, czterdziestoletnia, pracująca w archiwum pani historyk niemal z dnia na dzień postanawia wszystko rzucić i wyjechać w Himalaje?**

– Marzyłam o tym od dzieciństwa. Jako nastolatka zaczytywałam się w książkach na ten temat. Oglądałam wszystkie wydawane w Polsce albumy ze zdjęciami z polskich wypraw w Himalaje. Wyobrażałam sobie, że ja też tam jestem. Ale to były dziecięce fantazje. Przez wiele lat nie zrobiłam niczego, żeby je urzeczywistnić. Prawda jest taka, że gdyby ktoś jeszcze piętnaście lat temu powiedział mi, iż na własne oczy zobaczę najwyższą górę świata, to bym skwitowała to śmiechem. Przecież, jak wspominałaś, byłam stateczną panią w średnim wieku, zatrudnioną na poważnym stanowisku.

- **Ile lat pracowałaś w archiwum?**

– Ponad dwadzieścia.

- **Czym się tam zajmowałaś?**

– Wieloma rzeczami: opracowywaniem starych dokumentów, robieniem kwerend, przeprowadzeniem kontroli. Prowadziłam również stronę internetową i współpracowałam z wydawnictwem w celu popularyzacji archiwum.

- **To niezwykle szeroki zakres obowiązków.**

– Tak, ale to mi odpowiadało. Co kilka lat miałam możliwość zmiany stanowiska. Dzięki temu miałam motywację do dalszej pracy, ta różnorodność mnie nakręcała.

- **Do czasu...**

– W pewnym momencie dotknęłam tego sławnego „szklanego sufitu”. Poczułam, że już więcej nie mogę się tam nauczyć, nie mam możliwości rozwoju. Zaczęło mnie to męczyć.

- **I nie było już innego stanowiska, które by cię mogło zainteresować?**

– Nie. Czułam, że to, co mogłam zrobić w archiwistyce, już zrobiłam. Nie miałam przed sobą wyzwania, i to mnie nużyło.

- **Stąd pomysł na doktorat?**

– Tak.

- **Ile miałaś lat, kiedy się na niego zdecydowałaś?**

– Czterdzieści trzy.

- **Czyli wiele lat po ukończeniu studiów. To dość nietypowa decyzja. Po co był ci ten stopień**



- naukowy? Czyżby zapewniał jaką nową, lepszą posadę?**

– Nie. On nie był dla mnie żadną przepustką do nowej, lepszej pracy. Zrobiłam to dla własnej satysfakcji i po to, by się sprawdzić. To miał być taki prezent dla siebie na pięćdziesiąte urodziny. Decyzję o napisaniu doktoratu podjęłam podczas pierwszej wyprawy do Nepalu. Gdy siedziałam w cieniu drzew i patrzyłam w oczy kamiennego Buddy, pomyślałam, że byłoby super tak sobie tu siedzieć i pisać doktorat. W następnych latach moja praca na temat XIX-wiecznego Krakowa powstawała m.in. w Tajlandii, Kambodży, Wietnamie, Malezji i Nepalu.

- **Wyjazd, na którym podjęłaś decyzję o otwarciu przewodu doktorskiego, był twoim pierwszym kontaktem z Azją?**

– Tak, Nepal zafascynował mnie tak bardzo, że byłam pewna, iż tam wrócę, jednak na własnych zasadach. Wtedy wykupiliśmy wakacje w biurze podróży. Wszystkie koleje organizowaliśmy z Dragonem sami.

- **Wyjazdy z biurem podróży są bardzo wygodne...**

– Owszem, szczególnie dla ludzi takich jak my – w mocno zaawansowanej młodości i na dodatek nieznających



języka. Ale też bardzo ograniczają – są krótkie, musisz się trzymać określonego planu, nie możesz działać na własną rękę. Trudno poznać tak naprawdę miejsce, do którego przyjeżdżasz, kiedy spędzasz tam zaledwie tydzień czy dwa i na dodatek nie wychylasz nosa poza granice kurortu. Prawdziwe życie toczy się na ulicy, w zakamarkach miast, na peryferiach. To jest to, co mnie najbardziej fascynuje w podróżach: autentyczność. Coś, czego biuro podróży nie zagwarantuje.

▪ **Od tamtej pierwszej wyprawy do tej najważniejszej, przed którą rzuciłaś etat i sprzedałaś mieszkanie, minęło niecałe pół roku. W tym czasie udało ci się nauczyć angielskiego?**

– Skądże! Zapisaliśmy się z Dragonem na kurs i opanowaliśmy podstawy na tyle, by dogadać się w najważniejszych kwestiach i jako tako rozumieć, co się do nas mówi. Po wyjeździe okazało się jednak, że nasza wiedza jest naprawdę niewielka. Na szczęście z każdym miesiącem podróży było coraz lepiej. Ale perfekcyjnie nie mówimy do dziś.

▪ **Chcesz powiedzieć, że wyjechaliście sami do obcego kraju, nie znając nawet angielskiego?**

– Dziwi cię to?

▪ **Bardzo! Ja bym się na taką odwagę nie zdobyła.**

– To błąd! Bariera językowa jest bardzo popularna wśród Europejczyków. Od najmłodszych lat uczy się nas, że musimy znać jak najwięcej języków, że to świadczy o naszej wartości, że bez tego zginiemy za granicą. Jednak nic takiego się nie dzieje. Wystarczy zaufać sobie, uwierzyć w siłę mowy ciała i uważnie obserwować. Nam się to udało, wielu innym osobom też. Prości ludzie w Azji wcale nie znają dobrze angielskiego. Za to za pomocą gestów załatwisz z nimi wszystko.

▪ **Ale jednak bez znajomości języka trudno mieszkać w obcym kraju przez dłuższy czas, a wasze wyjazdy do krótkich nie należą.**

– Dlatego cały czas się go uczymy, ale tam, na miejscu. Nie odkładaliśmy naszego wyjazdu w nieskończoność tylko dlatego, że nie mówimy płynnie po angielsku. Wtedy pewnie byśmy nigdy nie opuścili Polski.

▪ **Ile krajów odwiedziliście do tej pory?**

– Nie liczyłam. Ale większość z nich to kraje azjatyckie. Kiedyś sumowałam kilometry pokonywane samolotem, ale po drugim okrążeniu kuli ziemskiej przestałam.

▪ **Od zawsze lubiłaś podróżować?**

– Uwielbiałam je oglądać w telewizji! Ale w młodości wcale często nie wyjeżdżałam. Zwiedziłam kilka typowo turystycznych europejskich krajów i to wszystko. Sama nie wiem dlaczego. Żałuję, że zmarnowałam tak dużo czasu, lecz teraz to sobie odbijam.

▪ **Wróćmy na chwilę do waszego życia sprzed okresu azjatyckiego. Co się wydarzyło, że postanowiliście zostawić wszystko, co wypracowaliście przez tyle lat, i niemal z dnia na dzień ruszyć w nieznane?**

– Podróże zaczęły nas coraz bardziej absorbować. Nasze pierwsze, samodzielne wyjazdy były dość krótkie, trwały kilka tygodni, ale i tak trudno było je pogodzić z pracą. Ja już wtedy myślałam o rezygnacji z posady w archiwum, ale Dragon wciąż pracował na etacie. Na dodatek po powrocie z jednej z wypraw okazało się, że okradziono nasze mieszkanie.

▪ **To był moment przełomowy?**

– Wydaje mi się, że tak. Ta myśl kiełkowała w nas od dłuższego czasu, ale planowaliśmy, że jakoś dożyjemy emerytury, a później zaczniemy podróżować na całego. Lecz kiedy ukradziono nam wiele pozornie cennych rzeczy, zrozumieliśmy, że to tylko przedmioty. Drogie i bezwarto- ▶

► ściowe. Na dodatek nie jesteśmy w stanie ich upilnować. Sprzedaliśmy wszystko – mieszkanie, meble, książki, płyty, nawet ubrania. Trwało to kilka miesięcy.

▪ **Bez żalu?**

– Bez. Sami byliśmy zdziwieni, że tak szybko udało nam się uwolnić od konsumpcjonizmu. Ale dopiero wtedy poculiśmy się naprawdę wolni. Teraz podróżujemy z dwoma plecakami i torbą podrózną.

▪ **To wystarcza?**

– Mamy cztery komplety ubrań, trzy pary butów, kilka kosmetyków, laptopy, czytnik e-booków, aparat fotograficzny i parę innych, drobnych sprzętów. Kiedy ciuchy się zużyją, wymieniamy je na cztery komplety nowych. To naprawdę wystarcza. Przyjeżdżając do Polski, nocujemy u przyjaciół lub wynajmujemy kawalerkę. A spieniężony dobytek stał się naszym kapitałem na przyszłość.

▪ **Jednak umówmy się, że pieniądze ze sprzedaży mieszkania nie wystarczą na zawsze. Często wspominasz, że samolot stał się twoim mobilnym biurem. Czym się teraz zajmujesz?**

– Wybieramy podróże budżetowe. Tanie loty, noclegi u mieszkańców, np. w zamian za pomoc w drobnych, codziennych czynnościach. To daje duże oszczędności. Ale pracujemy również zawodowo. Ja tworzę strony internetowe, zajmuję się grafiką komputerową i składem wydawniczym. Wszystko to mogę bez przeszkód robić przez internet, z każdego zakątka ziemi. Dragon też ma swoje zajęcia.

▪ **Na swoim przykładzie pokazujesz, że łączenie podróży i pracy wcale nie jest takie trudne, jak by się mogło wydawać.**

– Nie powiem, że jest bardzo łatwe, ale możliwe. Wymaga samozaparcia i systematyczności, bo nie masz nad sobą szefa, który by cię kontrolował. Mimo to, jeśli jest się człowiekiem wytrwałym, daje ogromne możliwości.

▪ **Jesteś osobą, która pokazuje, że chcesz to móc. Zrobiłaś wiele niezwykłych rzeczy, które niektórym nie mieszczą się w głowie. I to w wieku, jak to nazywasz, bardzo zaawansowanej młodości. Całkowita zmiana stylu życia po czterdziestce i doktorat w wielu pięćdziesięciu lat to nie wszystko. Pochwal się swoim ostatnim osiągnięciem!**

– Masz na myśli prawo jazdy? Tak, to mój ostatni sukces i jestem z siebie naprawdę dumna! Wreszcie po pięćdziesiątce zebrałam się na odwagę i teraz mogę samodzielnie prowadzić samochód. To bardzo ułatwi nam podróżowanie, bo do tej pory kierowcą był tylko Dragon.

▪ **Widzę, że nie ma dla ciebie rzeczy niemożliwych...**

– Jest wiele niewykonalnych w danym momencie. Na pewne rzeczy po prostu musi przyjść odpowiedni czas. U mnie nastąpił on dopiero w wieku czterdziestu lat. Może to późno, a może właśnie w idealnym momencie. Myślę, że jeszcze wiele planów zrealizuję, zanim całkiem się zestarzeję. Teraz już nie boję się marzyć.

▪ **Dokąd kolejna wyprawa?**

– Ciągnie mnie do Ladakhu w Himalajach, a Dragon chętnie by wrócił do Laosu. Obydwie nazwy na L. Zobaczymy, które wygra.

Rozmawiała:
ANNA PANIKOWSKA-FILIPEK



– Wszystko zdarza się po coś...

Rozmowa z aktorką Barbarą Kurzaj o jej drodze artystycznej, Liceum Sióstr Prezentek i akceptacji siebie

Rozmawiała: Maria Mazur-Prokopiuk



■ **Czy wiesz, że w tym roku mija 25 lat od naszej matury?**

– Niebawem! Wydaje się, jakby to było wczoraj...

■ **Prawda? Liceum Sióstr Prezentek w Krakowie było wtedy szkołą żeńską, a nauczycieli świeckich niewielu...**

– Po latach muszę przyznać, że miało to swój urok. Dziś rozczuła mnie nawet wspomnienie mundurków, których wtedy nie znosiłam!

■ **Którego z nauczycieli wspominasz najlepiej?**

– Oczywiście, profesora Jacka Graffa, nauczyciela biologii. Uwielbiałam go za erudycję, za pasję i za to, że zawsze miał dla nas czas.

■ **Z profesorem Graffem odniosłaś sukces naukowy...**

– Tak! Przy jego pomocy napisałam pracę o nietoperzach na konkurs ogłoszony przez Ojcowski Park Narodowy. Zdobyła pierwsze miejsce w konkursie i wydano ją w czasopiśmie Polskiej Akademii Nauk. Do tej pory mam zresztą kontakt z profesorem. Często wspominam też nauczyciela historii profesora Kretschmera, człowieka o ogromnej osobowości. Zapytał mnie kiedyś, czy chciałabym być grecką niewolnicą. Odpowiedziałam, że absolutnie nie, a on na to, że jestem głupia, bo miałabym szansę spotkać wielkich filozofów. Dziś, gdy ktoś zadaje mi dziwne pytanie, staram się na nie odpowiadać niezbyt szybko.

■ **Pamiętasz siostrę dyrektor? Uczyła nas geografii.**

– Siostra Fabiola! Spotkałam ją kiedyś na ulicy, wiele lat temu. Zapytała mnie, czy wyszłam za mąż. Odpowiedziałam, że nie. Zaskoczyła mnie, bo powiedziała wtedy: jestem z ciebie dumna, bo to oznacza, że bardzo poważnie myślisz o rodzinie. Potwornie mnie ucieszyło jej nieszablonowe podejście.

■ **A pamiętasz, jak odsunęłaś mi krzesło w pracowni chemicznej?**

– To moje traumatyczne wspomnienie! Zrobiłam to oczy-

wiście dla żartu, ale przecież mogło ci się coś stać. Do dzisiaj pamiętam kamienne spojrzenie, jakie mi postałaś, gdy już pozbierałaś się z podłogi. Mówiąc szczerze, uśmiecham się dzisiaj, to wspominając, choć się bardzo wstydzę.

■ **Z liceum zapamiętałam cię jako drobniutką dziewczynkę, małego trzpiota. Trochę przestraszonego. Byłaś zwariowana, ale też delikatna i nieśmiała. Wydaje się, że od tamtego dziewczątka do dzisiejszej Barbary Kurzaj prowadzi bardzo długa droga...**

– Rzeczywiście byłam bardzo nieśmiała i wiele rzeczy mnie przerażało, co nie przeszkadzało mi rozrabiać i się śmiać. Aktorstwo mnie otworzyło, ale ten strach nadal gdzieś we mnie siedzi. Nie jest czymś złym, tylko trzeba go zaakceptować. Wynika z wrażliwości, wycofania, delikatności. Lubię w sobie te cechy. Myślę, że dzięki nim ciągle jest we mnie otwartość na drugiego człowieka.

■ **Tęsknisz czasem za Teatrem im. Słowackiego? To chyba ważny rozdział w twoim życiu...**

– Przez wiele lat traktowałam to miejsce jak drugi dom. Tam stawiałam pierwsze kroki, szlifowałam warsztat aktorski i zagrałam najważniejsze role w swoim życiu. Nie sposób opowiedzieć w kilku słowach o dekadzie spędzonej w garderobie, w charakteryzatorni i na scenie. Niezliczonych zarwanych nocach, wypitych kawach i dyskusjach z reżyserami i innymi aktorami. Z każdą rolą miałam więcej odwagi, ale również pokory. Nauczyłam się też dużego szacunku dla widza.

■ **Jeśli na to zasłużył...**

– Oczywiście. Podam ci przykład. Wystawialiśmy sztukę „Merylin Mongoł”, moja bohaterka troszczy się o swoją ulubioną roślinę, którą w końcu jedna z postaci niszczy. Po spektaklu widzowie wręczali mi dokładnie taki sam kwiat. Dzięki temu czułam sens tego, co robiłam. Stąd mój ogromny sentyment do tego teatru.

■ **Dlaczego zatem zdecydowałaś się wyjechać do Warszawy?**

► – Spędziłam w tym teatrze dziesięć lat, dobrze się w nim czułam i miałam ciekawe propozycje. Uświadomiłam sobie jednak, że brakuje mi wolności. Chciałam spróbować sił na warszawskim rynku, na którym, co tu dużo mówić, zdecydowanie więcej się dzieje. Po dziesięciu latach w jednym teatrze aktor powinien ruszyć dalej, dać sobie szansę na rozwój. Chciałam najnormalniej w świecie spróbować czegoś nowego, a zarazem wyjście z tej strefy komfortu było dość trudne. Zresztą każda zmiana wymaga od nas dużej odwagi. Na szczęście tej ostatniej mi nie brakowało. Najpierw polecałam na kurs aktorski do Actor's Studio w Nowym Jorku, gdzie poznałam fenomenalną profesorkę – Elisabeth Kemp. Potem wróciłam do Polski i przez kilka lat byłam wolnym strzelcem.

▪ Skok na głęboką wodę?

– No wiesz, ryzyko od zawsze wpisane jest w ten zawód. Nie miałam wokół siebie dobrze mi znanych kolegów i koleżanek z Krakowa, telefon czasem milczał i brakowało mi poczucia bezpieczeństwa, które miałam w rodzinnym mieście. Na początku czułam się co nieco wyalienowana. W Warszawie wszystko szybciej funkcjonuje, to taka specyfika stolicy. Martwiły mnie zarówno prozaiczne rzeczy, choćby to, czy będę miała za co żyć, jak i to, czy będę mogła realizować się artystycznie.

▪ Czy praca w serialu „Barwy szczęścia” pomogła ci się odnaleźć w Warszawie?

– Sabina, którą gram, jest barwną postacią, mocno doświadczoną przez życie. Dzięki temu pozostaje ciekawa dla mnie i dla widza. Uważam, że w serialu można zagrać fajną postać i wypracować środki wyrazu potrzebne do pracy na planie filmu. Poza tym serial daje poczucie bezpieczeństwa finansowego. Przekonałam się również, że telewizja ma ogromny zasięg.

▪ W której roli lubisz siebie najbardziej? Ze wszystkich, które zagrałaś?

– W „Głębokiej wodzie”, serialu o pracownikach ośrodka pomocy społecznej.

▪ Była to wspaniała rola Edyty i rewelacyjny serial, za który dostaliście nagrodę Prix Italia dla najlepszego serialu telewizyjnego roku.

– Moja bohaterka przechodzi metamorfozę. Widzimy jej przemianę z ofiary przemocy domowej w kogoś, kto ma w sobie siłę do dokonywania zmian. To moja ukochana rola, bo ja prywatnie bardzo w takie zmiany wierzę. Edyta jest kompletnie inna niż ja. A mimo to pozostaje bardzo bliska. Ta rola mnie wiele nauczyła. Dziękuję losowi, że nigdy nie postawił mnie w sytuacji tej kobiety.

▪ Niesamowite, że tak doskonale potrafiłaś ją wyczuć. To była fenomenalnie zagrana rola.

– Bardzo ci dziękuję. Poważnie podeszłam do jej zagrania, rozmawiałam z kobietami, które doświadczyły przemocy. Po emisji serialu „Głęboka woda” przez długi czas otrzymywałam niezwykle pozytywne sygnały od widzów. Poznałam wiele historii nie tylko kobiet, ale i mężczyzn, którzy doświadczyli przemocy w związkach.

▪ Jakie premiery przed tobą?

– „Boże Ciało” Jana Komasy, „Dzień Czekolady” Jacka Bławuta Juniora. I „Maryjki” Darii Woszek. Ten ostatni film zdobył główną nagrodę na prestiżowych targach 17th Hongkong – Asia Film Financing Forum. Dzięki temu mógł być zaprezentowany na festiwalu w Cannes.

▪ Kim jesteś „Maryjkach”?

– Gram cichą Elkę. Jest tajemnicą, porozumiewa się bez słów, tylko za pomocą gestów. Nie dlatego, że nie umie. Elka nie chce mówić.

▪ Co sprawia ci większą przyjemność: gra w teatrze czy w filmie?

– Kino zawsze było moją miłością, ale teraz te dwie miłości zaczynają się we mnie równoważyć. Poszłam na PWST, bo chciałam grać w komediach, moim marzeniem było rozbawianie ludzi. Tyle że jakimś dziwnym trafem grałam w dramatach. Niedawno dopiero dostałam role w dwóch sztukach komediowych w Capitolu, co sprawiło mi to ogromną radość.

▪ Wcale nie jest tak łatwo rozbawić widza...

– Dlatego, kiedy ci się uda to zrobić ze sceny, satysfakcja bywa ogromna!

▪ A co u Barbary Kurzaj prywatnie?

– Pełna akceptacja! Odkryłam, że trzeba zaakceptować wszystko, co nam się przydarzyło. Nasze doświadczenia są po coś. Zaakceptowałam je, jestem za nie wdzięczna, ale do nich już nie wracam.

▪ Skąd taka potrzeba?

– Spotkałam na swojej drodze mistrza. Andrzej Seweryn zatrudnia mnie w Teatrze Polskim. To wyjątkowy, wybitny aktor. Ma w sobie spokój, klasę i jako nauczyciel jest niezrównany. Dzięki niemu rozumiałam, że wszystko zdarza się po coś. Rozpamiętywanie przeszłości do niczego nie prowadzi oprócz zgorzknienia, rozczarowania, frustracji. Trzeba ją zaakceptować i koniec, odciąć się. Fantastycznie mi się z tym żyje. Gdyby nie moje doświadczenia, byłabym innym człowiekiem, a ja nie chcę się zmieniać, lubię siebie.

Rozmawiała:
MARIA MAZUR-PROKOPIUK

Barbara Kurzaj zadebiutowała w 1994 roku w Teatrze im. Juliusza Słowackiego w Krakowie, w przedstawieniu „Wesele”. Zagrała tam również m.in. w takich spektaklach, jak: „Nondum” w reż. M. Łazarkiewicz, „Merlin Mongol” w reż. R. Zioly, „Tango Piazzola” w reż. J. Opalskiego, „Łucja Szalona” w reż. M. Piekorz. Występowała w wielu produkcjach filmowych (m. in. „Pod mocnym aniołem”, „Katyń”, „Kebab i horoskop”) i telewizyjnych. Gościnnie gra w Och Teatrze w Warszawie, Teatrze STU i w Teatrze Łaźnia Nowa w Krakowie. Współzałożycielka polsko-francuskiej grupy filmowej Red Eyes Cool. Od niedawna Barbarę Kurzaj można również oglądać na scenie Teatru Polskiego w Warszawie

– Parady równości to nie moja bajka

Rozmawiała: Magdalena Stronczak



Rozmowa z Kubą J. o późno odkrytym homoseksualizmie, o reakcji rodziców na jego coming out i o tym, jak mu się żyje w Polsce

Dokładna liczba homoseksualistów nie jest w Polsce znana. Badania z 2016 roku przeprowadzone przez niemiecką organizację Dalia pokazują, że w naszym kraju osoby LGBT stanowią 4,9 proc. społeczeństwa. Ilu z nich to geje i lesbijki, bywa trudne do ustalenia. Mało kto chce ujawniać swą tożsamość w obawie o reakcje społeczeństwa.

Z Kubą J. umówiliśmy się w Multi Qulti przy ul. Szewskiej. Gdy weszłam do pubu, siedział plecami do mnie.

„Kawał chłopak!” – pomyślałam. Ani trochę nie przypominał stereotypowego geja. Wystarczyło jedno spojrzenie, bym uświadomiła sobie, jak bardzo zakorzenione w mojej głowie schematy o homoseksualistach nie przystają do rzeczywistości. On niczym nie różnił się od znanych mi heteroseksualnych mężczyzn z mojego środowiska.

Jeśli już miałyby się czymś wyróżniać, to przede wszystkim ciepłym spojrzeniem i szarmanckim uśmiechem.

▪ Jesteś jedynym gejem, jakiego znam...

– Na pewno znasz jakiegoś, tylko o tym nie wiesz.

▪ Opowiesz mi o tym, jak to jest, gdy młody człowiek zaczyna odkrywać, że może być homoseksualny?

– Moment, w którym uświadamiasz sobie, że jesteś gejem lub lesbijką, bywa kwestią bardzo indywidualną. U mnie stało się to dość późno, miałem prawie 18 lat. Wcześniej wcale się nad tym nie zastanawiałem. Być może trochę tłumiliłem w sobie tę myśl i nie pozwalałem jej dojść do głosu.

▪ Dlaczego?

– Pochodzę z małej wsi na Podkarpaciu. Tam homoseksualizm to totalne tabu. Nikt nie porusza takich tematów.

Dopiero gdy przeprowadziłem się do Krakowa, zacząłem szukać kogoś podobnego do siebie. Zarejestrowałem się na portalu dla gejów i tam znalazł mnie Marcin, mój obecny chłopak. Studiowaliśmy na tym samym wydziale AGH i za pośrednictwem portalu zagaił do mnie: „Chyba cię znam”. Spanikowałem. Szybko usunąłem zdjęcie profilowe w obawie, że ktoś chce mnie wyoutować, i odpisałem, że to nie ja.

▪ Ale jednak zostaliście parą?

– To prawda. Marcin domyślał się, że pomimo skasowania zdjęcia i tak kryję się za profilem na portalu, jednak uszanował moją wolę i nie naciskał na rozmowę. Była to dla mnie zupełnie nowa i nietypowa sytuacja. Obawiałem się, że ktoś chce mnie ośmieszyć. Gdy wszystkie te emocje ucichły, sam się do niego odezwałem. Nasz znajomość rozwijała się i niedługo stuknie siedem lat, odkąd jesteśmy razem.

▪ Gdy już sam upewniłeś się co do swojej orientacji, komu o tym najpierw powiedziałeś?

– Długo się do tego zabierałem. Pierwszy dowiedział się mój przyjaciel Paweł. Sygnalizowałem mu, że jest coś, co mnie dręczy, i będę musiał to z siebie wyrzucić. Kiedyś przy piwie Filip zaczął dopytywać, o co chodzi, i w końcu walnął wprost: „Lubisz facetów?!”. Nic nie odpowiedziałem, tylko wyszedłem na papierosa. On już wtedy się domyślał, a swoim pytaniem załatwił sprawę za mnie.

▪ A rodzina?

– Jesteśmy z sobą bardzo blisko i zależało mi na tym, żeby wiedzieli o mojej orientacji. Najpierw podzieliłem się tym z siostrami. Ich reakcja była pełna miłości i zrozumie-

► nia. Powiedziały, że nadal mnie kochają i szanują moje wybory. Schody pojawiły się przy mamie. Nie wiedziałem, jak to powiedzieć, obawiałem się jej reakcji. Wybrałem drogę na skróty i napisałem do niej SMS-a: „Jestem gejem”. To było bardzo prymitywne z mojej strony, jednak w inny sposób nigdy bym jej tego nie powiedział. Obawiałem się konfrontacji w cztery oczy.

▪ **I jak zareagowała?**

– Była podłamana. Z relacji sióstr wiem, że przepłakała cały tydzień. Nie zdobyła się również na odwagę, by powiedzieć tacie. Zrobiłem to sam kilka lat później.

▪ **Dopiero kilka lat później?**

– Tak. I to nie do końca z własnej woli, bo okoliczności mnie do tego zmusiły. To był trudny czas dla naszej rodziny. Mama popadła wówczas w koszmarne spirale zadłużenia i ukrywała to przed resztą rodziny. Nie wiedział o tym nawet tata. Okazało się, że zaciągnięte przez nią zobowiązania znacznie przekroczyły możliwości finansowe rodziców, padła więc propozycja, czy nie mógłbym wziąć kredytu, a oni by sukcesywnie spłacali pożyczone pieniądze. Dla mnie sprawa była oczywista, bardzo chciałem pomóc rodzicom. Jednak pojawiła się wątpliwość, jak mój ojciec zareaguje na fakt, że jestem gejem. Nie chciałem zostać sam z tym kredytem, więc oświadczyłem tacie, waląc prostu z mostu, że jestem gejem i mam kogoś.

▪ **I co on na to?**

– Jego reakcja mnie zszokowała – była bardzo emocjonalna. Rozpłakał się, przytulił mnie i powiedział, że wszystko będzie dobrze. Obydwaj wtedy płakaliśmy jak dzieci. Myślę, że to był kluczowy moment w naszych relacjach. Tata wreszcie zaczął traktować mnie jak dorosłego mężczyznę – miał świadomość, jak trudne emocjonalnie było dla mnie wyznanie prawdy, a jednocześnie nie krył dumy, że wziąłem na klatę ich problemy finansowe. Dzięki temu wyrobiłem sobie u ojca duży respekt.

▪ **A rodzice poznali już twojego chłopaka?**

– O dziwo, poszło całkiem gładko. Marcin obawiał się spotkania z moimi rodzicami. Długo zwlekał z podjęciem decyzji o wizycie u nas. Ostatecznie przekonałem go argumentem, że rodzina jest dla mnie bardzo ważna i zależy mi na utrzymywaniu dobrych relacji z najbliższymi. Spotkanie przebiegło zaskakująco dobrze. Jak na tradycyjny dom przystało, nawet wódka się pojawiła. Myślę, że moi rodzice po poznaniu Marcina trochę się uspokoiili. Uświadomili sobie, że świat gejów i lesbijek wykreowany przez media ma niewiele wspólnego z rzeczywistością,

a różowe sweterki i wysoki tembr głosu nie są znakami rozpoznawczymi homoseksualnych mężczyzn. Zaakceptowali to, ale nie afiszują się z tym. Sądzę, że gdyby w pracy zapytano mojego tatę, czy mam kogoś, pewnie by zaprzeczył...

▪ **A ty ukrywasz przed otoczeniem swój homoseksualizm?**

– To się zmieniało. Dziś nie mam już z tym problemu. W poprzedniej pracy nikt o mnie nie wiedział, natomiast w nowej firmie uznałem, że nie już będę niczego ukrywał. Gdy tylko ktoś pyta o moje życie prywatne, odpowiadam zgodnie z prawdą. Reakcje ludzi w większości przypadków są pozytywne, choć przeplatają się ze zdziwieniem.

▪ **A czy kiedykolwiek spotkałeś się z przejawami agresji lub homofobii?**

– Na szczęście niczego takiego nie doświadczyłem. Nigdy też we własnym środowisku nie słyszałem o jawnych atakach na gejów czy lesbijki. Wywodzę się z kręgów mocno sportowych – grałem ponad dziesięć lat w koszykówkę. Zawsze na treningach ktoś rzucił głupim żartem w rodzaju: „Ale gejoza”. Niby śmieszne, a tak naprawdę żałosne. To pozwoliło mi się uodpornić na tego typu komentarze.

▪ **Czyli cię to nie rusza?**

– Zupełnie nie. Lubię śmiać się z ludzi i z siebie, o ile nie jest to atakiem.

▪ **A co czujesz, gdy jeden z europarlamentarzystów po głośnym filmie Sekielskiego porównuje pedofilię do pederastii?**

– Nic. Czuję jedynie jego niekompetencję. Zupełnie mnie to nie rusza. Uważam, że jeśli ktoś naprawdę poznał środowisko homoseksualne, to nie wygłasza takich twierdzeń.

▪ **Utożsamiasz się ze środowiskami walczącymi o prawa gejów i lesbijek?**

– Dla mnie polityka to strata czasu. Wszelkiego rodzaju protesty, parady równości to zupełnie nie moja bajka. Nigdy nie biorę udziału w tego typu wydarzeniach. Moim zdaniem, parada równości to najgorsze, co może się dziać, jeśli idzie o wizerunek gejów i lesbijek. Tam przychodzą specyficzni ludzie o radykalnych poglądach, mocno wojujący, niejednokrotnie półnadszy. Ich zachowanie jest pokazywane w telewizji i tak tworzy się wypaczony obraz środowisk homoseksualnych. Potem słyszysz na ulicy: „Patrz, to ci popaprańcy, geje”. Strasznie mnie irytuje cała otoczka tych wydarzeń, więc nie mam ochoty być ich częścią.

▪ **A chciałbyś zalegalizować swój związek?**

– Tak. Nie zależy mi wcale na profitach wynikających z zawarcia małżeństwa, chociażby takich, jak wspólne rozliczenie podatków, ale chciałbym przeżyć ową podniosłą chwilę. Chyba faktycznie gejostwo ze mnie wychodzi... A mówiąc zupełnie poważnie, najbardziej boli mnie to, że z perspektywy prawa jesteśmy dla siebie zupełnie obcymi ludźmi. Jeśli się cokolwiek stało Marcinowi, nie mam prawa dowiedzieć się niczego o jego stanie zdrowia ani też podjąć jakichkolwiek decyzji co do jego leczenia.

▪ **Jakie jest twoje zdanie na temat adopcji dzieci przez pary homoseksualne?**

– Uważam, że byłbym świetnym ojcem, natomiast nigdy nie chciałbym mieć dziecka w Polsce, bo ono miałoby tutaj przejebane. Od samego początku nosiłoby łatkę dziecka dwóch pedałów. Poza tym nie do końca wiem, jak

wychowanie w rodzinie homoseksualnej wpływa na psychikę dziecka. Nie znam żadnych badań w tym zakresie. Nie chciałbym podejść do tego nieodpowiedzialnie, stawiając na swoim i decydując się na dziecko, a bagatelizując jednocześnie to, co ono może przeżywać.

▪ **Wszystkie twoje doświadczenia związane z homoseksualizmem są w gruncie rzeczy bardzo pozytywne. Czy mam rozumieć, że dobrze ci się żyje w naszym kraju?**

– Zdecydowanie tak. Nigdy nie doświadczyłem tutaj niczego złego i w gruncie rzeczy czuję się akceptowany. Jeśli kiedyś miałbym wyjechać z Polski, to tylko po to, by doświadczyć życia w innym kraju. Na razie jest mi tutaj bardzo dobrze.

Rozmawiała:
MAGDALENA STRONCZAK



- Warto poznać swoje mocne strony, atuty i zainteresowania

Rozmowa z Ewą Trznadel i Justyną Chylą z Akademickiego Biura Karier Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie

Rozmawiał: Artur Orzeł

34

Współczesny rynek pracy rządzi się swoimi prawami, a jak wiemy, prawa te potrafią być trudne i bezlitosne. Jak zatem można się w nim odnaleźć? Z pomocą przychodzi nam Akademickie Biuro Karier. Czym ono jest i w jaki sposób pomaga studentom?

■ **Jak można się dowiedzieć ze strony internetowej, misją Akademickiego Biura Karier jest przygotowanie studentów i absolwentów Uniwersytetu Pedagogicznego do skutecznego poszukiwania pracy. W jaki sposób realizują panie te założenia?**

– Na wiele sposobów. Oferujemy przede wszystkim studentom konsultacje indywidualne, dopasowane do ich potrzeb. Student może w czasie takich konsultacji określić swe predyspozycje zawodowe. Dysponujemy również testem, który bada obszary do rozwoju, pokazuje nasze mocne i słabe strony. Organizujemy warsztaty kształtujące przede wszystkim kompetencje miękkie. Co też wydaje się ciekawe, część studentów myśli o założeniu własnego biznesu. Mamy więc w ofercie warsztaty kształtujące właściwą postawę przedsiębiorczą oraz udzielamy ogólnego wsparcia w prowadzeniu biznesu.

■ **Rozumiem, że od samego początku kierują państwo młodym przedsiębiorcą, który otwiera działalność...**

– Nie wspieramy młodych przedsiębiorców, tylko studentów, którzy mają dopiero pomysł na biznes. Mogą przyjść

do Akademickiego Biura Karier, aby opracować strategię działania, oraz wielowymiarowo przeanalizować swój pomysł biznesowy. Dwie studentki piątego roku chcą na przykład po ukończeniu studiów otworzyć gabinet logopedyczny.

■ **Wspomniały panie o warsztatach organizowanych przez Akademickie Biuro Karier. Przykładowo. Jak do tej pory udało się zorganizować i czego one dotyczyły?**

– Dużą popularnością cieszą się warsztaty radzenia sobie ze stresem i zarządzania zmianą. Zawsze zgłasza się na nie wielu studentów, tak że jesteśmy zmuszone tworzyć listy rezerwowe. Do tej pory zrealizowaliśmy również warsztat „Biznesplan doskonały”, kierowany właśnie do tych, którzy myślą o założeniu własnej działalności. Dodatkowo: „Komunikacja w biznesie”, „Współpraca w zespole”, „Motywowanie siebie i innych”, „Etat czy własna firma?”. Zachęcamy również do przeglądania naszej strony internetowej, gdzie można znaleźć wszystkie informacje dotyczące szkoleń i warsztatów.

■ **Jakie warunki musi spełnić student i co należy zrobić, by otrzymać pomoc od Akademickiego Biura Karier?**

– Jesteśmy otwarte na każdego studenta, który chce zaplanować swą karierę, szuka praktyk bądź dodatkowego stażu. Z tego względu realizujemy projekt „UProgu kariery” przeznaczony studentom studiów stacjonarnych. Studijący niestacjonarnie oraz absolwenci mogą natomiast liczyć na indywidualne doradztwo zawodowe. Otrzymują wówczas specjalistyczną pomoc dopasowaną do ich konkretnych potrzeb.

▪ **Czy Biuro Karier jest popularne wśród studentów? Korzystają oni z jego ofert?**

– Myślę, że tak. Projekt realizowany od lutego bieżącego roku zgromadził już około 250 osób.. Popularność Akademickiego Biura Karier nieustannie wzrasta. Osoby, które do nas trafiają, mają różne potrzeby związane z planowaniem swojego rozwoju. Nieraz jest to tylko kwestia poprawy dokumentów aplikacyjnych, a czasami student wymaga wsparcia w zakresie poszerzenia świadomości siebie – odkrycia swojego potencjału i zainteresowań. Niektórzy studenci dochodzą do wniosku, że błędnie wybrali kierunek studiów, jednak zastanawiają się, w jaki sposób tę wiedzę wykorzystać w pracy. Właśnie z tym przychodzą do nas.

▪ **Czy są kierunki studiów z góry skazane na niepowodzenie?**

– Obecnie przeprowadza się coraz więcej badań, których wyniki przedstawia się w postaci barometru zawodów. Możemy tam znaleźć zawody deficytowe i te, które są w nadwyżce w danym roku. Nie da się jednak ukryć, że osoby wybierające pracę związaną z IT znajdują zatrudnienie łatwiej i szybciej, świadczą o tym statystyki. Natomiast jeśli obserwujemy rynek z perspektywy czasu, to możemy zauważyć, że wiele rzeczy bardzo szybko się zmienia, ponieważ wchodzi automatyzacja pracy w wiele obszarów, czego skutkiem jest to, iż mnóstwo zawodów się dezaktualizuje albo zanika. To, co możemy jednak zarekomendować studentom, to nie przywiązywanie się do jednego, konkretnego kierunku studiów, lecz ciągłe poszerzanie kompetencji. Szczególnie mowa tu o kompetencjach miękkich, co często podkreślają pracodawcy, z którymi współpracujemy. Należą do nich umiejętności związane z komunikacją, motywacją, z zarządzaniem zasobami ludzkimi. Badania mówią również o tym, że zawody związane z analizą i kontrolingiem będą z roku na rok miały na rynku pracy coraz większe znaczenie.

▪ **Czym wobec tego należy się kierować przy wyborze studiów?**

– Warto poznać swoje mocne strony, atuty i zainteresowania. Jeżeli mamy z tym kłopot, doradca zawodowy na pewno w tym pomoże, dlatego zapraszamy studentów do naszego biura, gdyż jesteśmy w stanie pomóc w tym procesie. Jest to niezwykle ważne, by uniknąć później rozczarowania i lęku związanego z tym, że niedobrze trafiłem, niedobrze wybrałam. Kolejną sprawą są wiedza i umiejętności kandydata. One również wiążą się ze wspomnianymi umiejętnościami miękkimi, takimi jak komunikacja,

współpraca w zespole, elastyczność. Nie należy bazować wyłącznie na wiedzy teoretycznej, którą poznajemy na studiach, gdyż to zaledwie początek. Tak naprawdę umiejętności zdobywamy dopiero później przez doświadczenie w pracy. Student może zaczynać karierę już na studiach, ucząc się nawet stacjonarnie, co bywa bardzo cenne. Uczy się w ten sposób różnych umiejętności i łatwiej jest mu się później odnaleźć na rynku pracy. Należy podkreślić, że nie wszyscy mają tego świadomość. Jedni są bardzo świadomi siebie, inni potrzebują inspiracji właśnie doradcy zawodowego.

▪ **Jak można zaplanować własną karierę? Czy w ogóle jest to możliwe? A może powinny to być spontaniczne działania, na zasadzie „co mi los przyniesie”?**

– Jak pokazują nasze doświadczenia w gabinecie doradczym, z tym u studentów bywa różnie. Rzeczywiście przychodzą do nas osoby zaangażowane w wiele ciekawych działań, podejmujące wiele ról. Takiej osobie, która buduje kapitał swoich doświadczeń, łatwiej jest kształtować przekonanie o własnej skuteczności. To takie wewnętrzne przekonanie, że osoba poradzi sobie na rynku pracy, gdyż przetestowała siebie w różnych rolach. Z drugiej strony trafiają się ludzie będący na piątym roku studiów lub absolwenci. Odbyli wyłącznie jedne obowiązkowe praktyki. Jest to już pewien etap planowania ścieżki kariery, ponieważ takie osoby budują bardzo cenny kapitał doświadczeń i kształtują swe kompetencje społeczne.

▪ **W internecie często można natrafić na testy, quizy, które mają pomóc w określeniu predyspozycji zawodowych. Czy w Akademickim Biurze Karier jest możliwość rozwiązania takiego testu?**

– Tak, mamy w ofercie profesjonalne narzędzie zakupione niedawno na potrzeby projektu „UProgu kariery”. Jest to test predyspozycji zawodowych, 121 pytań. Czas rozwiązywania to około 30-40 minut. Osoba, która go rozwiąże, otrzymuje informację zwrotną na temat jej mocnych stron i predyspozycji. Test wskazuje również na umiejętności, które należy rozwijać, gdyż nie są najlepsze. Można tam także znaleźć informacje na temat roli, którą dana osoba będzie pełnić w zespole. Ów test cieszy się dobrą opinią, gdyż dzięki niemu studenci utwierdzają się w przekonaniu, co jest ich atutem.

Rozmawiał:
ARTUR ORZEŁ



36

„Nic zwyczajnego” Michała Rusinka to piękne, sentymentalne wspomnienie napisane z niezwykłym taktem, a jednocześnie wnikliwością bystrego obserwatora. Można w nim znaleźć wszystko to, co definiuje Wisławę Szymborską jako poetkę, składa się na jej niepowtarzalność i autentyczność

O Wisławie Szymborskiej napisano już wiele. W końcu polska, na dodatek żyjąca współcześnie noblistka to ciekawy i wzbudzający emocje temat. Opublikowano kilka tomów jej biografii, fragmenty listów wymienianych z Kornelem Filipowiczem i liczne interpretacje wierszy. Jednak portret, który wyszedł spod palców Michała Rusinka, ma w sobie coś niepowtarzalnego – coś, czego w żadnej z wcześniej wymienionych pozycji nie da się uchwycić. Prawdopodobnie nie ma osoby, która by przez tyle lat była tak blisko Szymborskiej, jak jej wieloletni sekretarz.

Jak wspomina ten okres? Przyznaje, że nie było w tym nic zwyczajnego. Myślę, że trudno wyobrazić sobie bardziej adekwatny tytuł.

„Nic zwyczajnego” to piękne, sentymentalne wspomnienie napisane z niezwykłym taktem, a jednocześnie wnikliwością bystrego obserwatora. Można w nim zna-

Jej portret

leć wszystko to, co definiuje Szymborską jako poetkę, składa się na jej niepowtarzalność i autentyczność. Są tam opisy wielu ważnych wydarzeń – takich jak wręczenie Nagrody Nobla – ale też nieznanym czytelnikom, codziennych sytuacji, anegdoty, zdjęcia z podróży, fragmenty wierszy, kopie rękopisów oraz tak lubianych przez poetkę wyklejanek.

Michałowi Rusinkowi udało się wniknąć do pilnie strzeżonej przez noblistę przestrzeni prywatnej i przemycić z niej dla czytelnika wiele smaczków. Niejednokrotnie pokazuje Szymborską w zupełnie innym, nieznanym dotąd świetle. Przedstawia ją jako niejednoznaczną, pełną sprzeczności, fascynującą kobietę o bogatym wnętrzu. Duszę towarzystwa, która kochała samotność. Poetkę chwilami nienawidzącą słów. Staruszkę, która do końca życia została małą dziewczynką. Introwertyczkę, mistrzynię skrótów, osobę o wielkim sercu, niecodziennym poczuciu humoru i ogromnej wrażliwości.

Robi to jednak z niezwykłym taktem i wyczuciem, tak jakby miał świadomość tego, ile ona sama pozwoliłaby o sobie powiedzieć.

„Nic zwyczajnego” nie jest typową biografią. Niewiele tam dat, ważnych nazwisk i chronologicznie przedstawionych wydarzeń. To ciepłe i pełne emocji wspomnienie o kimś ważnym, bliskim i wyjątkowym, kwintesencja tego, jak Michał Rusinek chciałby Wisławę Szymborską zapamiętać i jaki jej portret pozostawić w pamięci czytelników.

Czy warto go przeczytać? Nic bardziej oczywistego.

ANNA PANIKOWSKA-FILIPEK



Michał Rusinek „Nic zwyczajnego”
Wydawnictwo: Znak
Rok wydania: 2016
Liczba stron: 313
Oprawa: twarda

Słodko- -gorzka Toskania

Jacek Borcuch jako jeden z nielicznych na rodzimym podwórku podjął się próby przedstawienia problemów współczesnej Europy. Nie robi tego jednak nachalnie, widz nie zostaje bombardowany krwawymi obrazami. W efekcie dostaliśmy nad wyraz subtelny, delikatny, ale jakże ważny film na „słodki koniec dnia”

Maria Linde (Krystyna Janda) jest polską poetką, noblistką mieszkającą wraz z rodziną w tokańskiej Volterze. Otoczona przyjaciółmi, cieszy się nadzwyczajnym szacunkiem. Udowadnia, jaką siłę ma słowo, bawiąc się nim w dziwny sposób. Odmawia wywiadów, bo – jak twierdzi – wszystko już powiedziała. Do mieszkającego z nią męża pisze list, prosząc go, by wyrzucił kapcie, w których porusza się bezszelestnie niczym duch. Potem odbiera nagrodę od władz miasta i wygłasza przemowę wywracającą życie całej społeczności do góry nogami.

Film „Słodki koniec dnia” opowiada też o starości, o tym, że w pewnym wieku trzeba pokornie wykonywać rolę narzuconą przez społeczeństwo. Maria Linde mówi: basta, flirtuje z młodym Nazeerem, nie przestrzega przepisów drogowych, pali marihuanę i chodzi do klubów, gdzie próbuje mocniejszych narkotyków.

Nie zgadza się na odgrywanie przykładowej żony, matki i babci. Ów sprzeciw wyraża się również w kontrowersyjnym przemówieniu. Złożoność postaci jest zaskakująca, nie wiadomo, jaki będzie kolejny krok granej przez Jandę Marii. Nic dziwnego zatem, że aktorka została nagrodzona

wyróżnieniem tegorocznego jury festiwalu filmów niezależnych na festiwalu w Sundance.

Warto docenić zdjęcia Michała Dymka, w których ukazał sielskie krajobrazy Toskanii i skrywające pod nimi zwiężające się napięcia. Utrzymaniu klimatu sprzyjała muzyka, za którą odpowiadał Daniel Bloom z Leszkiem Możdżerem. Mówiąc szczerze, ów soundtrack to perełka, bez której film nie byłby tym samym – genialne połączenie jazzu i muzyki elektronicznej.

Docenić też trzeba rolę zagraną przez Kasię Smutniak. Kocham tę dziewczynę, ma w sobie naturalną bezzcelność, którą sprytnie przenosi na ekrany kinowe. W „Słodkim końcu dnia” zbyt marginalnie pokazano zagmatwane relacje matki z córką.

Odnoszę wrażenie, że poukładane życie Anny, czyli Kasi Smutniak, jest przekornie formą sprzeciwu wobec zbuntowanego i nietypowego sposobu bycia Marii Linde. Między tymi kobietami istnieje pewna energia pełna żalu, gniewu, pretensji, ale również miłości i tęsknoty. W głowie mam pytania, na które Borcuch nie dał odpowiedzi: Czy to dobrze? Sami zdecydujcie.

Bardzo się cieszę, że Jacek Borcuch zabrał mnie do Toskanii, ale nie pokazał jej w przesłodzony sposób, katując mnie *Czterema porami roku* Vivaldiego. Podróż w towarzystwie Krystyny Jandy to sama przyjemność.

JAKUB JANAS

Film „Słodki koniec dnia”
Reżyseria: Jacek Borcuch
Scenariusz: Szczepan Twardoch
Gatunek: dramat
Produkcja: Polska
Premiera: 10 maja 2019 r.
Muzyka: Daniel Bloom i Leszek Możdżer
W rolach głównych: Krystyna Janda (jako Maria Linde), Katarzyna Smutniak (jako Anna)
Czas trwania filmu: 1 godz. 32 min.



„Simona. Opowieść o niezwykłym życiu Simony Kossak” Anny Kamińskiej to solidnie przygotowana biografia, oparta na dokumentach i relacjach osób, które znały bohaterkę i których oczekiwaniom opisanie prawdziwej historii autorka starała się sprostać

Królowa puszczy

38

Gdyby talent i uroda zawsze były przekazywane genetycznie, Simona Kossak została by malarką, powieściopisarką lub poetką. Niestety, młodsza córka Jerzego Kossaka nie odziedziczyła talentów malarskich po męskiej linii swego rodu ani literackich po linii kobiecej. Nawet z urodą coś poszło nie tak.

Wnuczka Wojciecha Kossaka, prawnuczka Juliusza, bratanica Magdaleny Samozwaniec oraz Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, cioteczna wnuczka Zofii Kossak-Szczuckiej, urodziła się w Krakowie, w rodzinnej Kossakówce w roku 1943 i od razu (z racji płci, braku urody, chorowitości) okazała się największym rozczarowaniem w historii rodu.

Jakież to dla wszystkich miłośników książek Magdaleny Samozwaniec (w tym dla mnie) zawód!

Kossakówka wydawała im się „domem marzeń”, azylem, miejscem, gdzie każda oryginalność była akceptowana. Tyle że w domu artystów osoba takich oczywistych talentów pozbawiona jawi się kimś zgoła niepożądanym.

Tak właśnie było w przypadku Simony. Jej zdolności, niekonwencjonalność, oryginalność, ujawnia się dopiero wtedy, gdy dorośnie. Wówczas też wielokrotnie będzie podkreślać, jak antypatyczną osobą była ubóstwiana przeze mnie Samozwaniec.

Historię wyrodnej córki słynnego rodu przeczytałam w doskonałej książce Anny Kamińskiej „Simona. Opowieść o niezwykłym życiu Simony Kossak”. Warto wspomnieć, że autorka ma w dorobku jeszcze dwie fenomenalne powieści: „Wanda. Opowieść o sile życia i śmierci. Historia Wandy Rutkiewicz” oraz zbiór czternastu prawdziwych historii osób adoptowanych, poszukujących swoich biologicznych rodzin – „Odnalezieni. Prawdziwe historie adoptowanych”.

„Simona...” to solidnie przygotowana biografia, oparta na dokumentach i relacjach osób, które znały bohaterkę i których oczekiwaniom opisanie prawdziwej historii autorka starała się sprostać. Z pewnością nie było to zadanie łatwe, biorąc pod uwagę, jak kontrowersyjną postacią pozostawała Simona; jedni ją kochali, inni jej nienawidzili.

Nie tylko opinie o niej bywają sprzeczne. Nawet jej własne wspomnienia, uwiecznione w wywiadach, nagraniach

i listach, zmieniały się w ciągu lat. Portret, jaki kreśli przed nami Kamińska, odzwierciedla żelazny charakter Simony, jej odwagę i bezkompromisowość, ale też kruchość i delikatność. „Słodko-gorzka” – tak określa ją Anna Kamińska.

W roku 2000, siedem lat przed jej śmiercią, prezydent Aleksander Kwaśniewski nadał Simonie tytuł naukowy profesora nauk leśnych, doceniając jej artystyczną wrażliwość oraz kulturę współistnienia z przyrodą i ludźmi. Co za cudowny paradoks! Przed ludźmi przecież ukryła się w Puszczy Białowieskiej, wybierając życie z dzikimi zwierzętami w starej leśniczówce, bez prądu, bieżącej wody i łączności ze światem.

Książkę szczerze polecam, jest świetnie napisana. Czyta się ją jak powieść, a przedstawia ona nie tylko losy Kossaków, ale też dość ponury fragment historii Polski. Muszę przyznać, że jako lokalną patriotkę ukłuło mnie, gdy przeczytałam o „krakowskim spleenie”... Od niego, zdaniem autorki, uciekła Simona. I z nim też zderzyła się sama Kamińska, kiedy poszukiwała w Krakowie informacji o bohaterce. Rzeczywiście, moje miasto musiało wyrwać w sercu Simony dziurę, którą starała się jakoś załatać. Zarosła puszcza – to jedyne wytłumaczenie.

MARIA MAZUR-PROKOPIUK

Anna Kamińska, *Simona. Opowieść o niezwykłym życiu Simony Kossak*

Kraków 2015

Wydawca: Wydawnictwo Literackie

Gatunek: biografia

Liczba stron: 336



ROSJA, neoimperium?

Dla wielu jest to kraj niezwykle tajemniczy i pełen sprzeczności, który mimo że doczekał się wielu obszernych monografii, filmów czy też artykułów, wciąż nie jest do końca odkryty i ciągle stanowi nie lada wyzwanie, ale i zarazem pole do popisu dla badaczy

Rosja niezmiennie budzi zainteresowanie polskich i zagranicznych autorów. Mowa tu o Rosji zarówno carskiej, radzieckiej jak i współczesnej, która wywołuje skrajne emocje ze względu na prowadzoną politykę zagraniczną względem Ukrainy czy Gruzji, ale również politykę wewnętrzną, na której cieniem – według zachodnich badaczy – kładzie się brak demokracji i represyjność systemu putinowskiego.

Dla wielu jest to kraj niezwykle tajemniczy i pełen sprzeczności, który mimo że doczekał się wielu obszernych monografii, filmów czy też artykułów, wciąż nie jest do końca odkryty i ciągle stanowi nie lada wyzwanie, ale i zarazem pole do popisu dla badaczy.

Jedną z nowszych publikacji jest dzieło „Przekleństwo Imperium. Źródła rosyjskiego zachowania” autorstwa Pawła Rojka, wykładowcy Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie, wydane przez krakowskie wydawnictwo M.

Analizie poddane zostały źródła rosyjskiego zachowania, jednak na próżno szukać tam analizy opartej na twardych interesach politycznych czy też biznesowych, istotnych z punktu widzenia Federacji Rosyjskiej. Autor postanowił się zająć nie praktyką, lecz ideami, w związku z czym opisał podstawy ideologiczne współczesnej polityki zagranicznej naszego wschodniego sąsiada oraz współczesną rosyjską myśl imperialną.

Ambicją Pawła Rojka stało się udzielenie odpowiedzi na pytanie o imperialny charakter putinowskiej Rosji, o to, czy współczesna polityka zagraniczna oraz wewnętrzna Federacji Rosyjskiej faktycznie chce w sobie obudzić dawne demony imperializmu. Autor uważa, że „poznanie sposobu myślenia jest niezbędne dla zrozumienia sposobu działania” w kontekście świadomości i ambicji rosyjskich elit politycznych.

Książka składa się z czterech rozdziałów („Rosyjski Imperializm”, drugi „Moskwa – Trzeci Rzym”, trzeci „Geopolityka i Imperializm”, a czwarty „Władza i Eurazja”) i z siedemnastu podrozdziałów. W pierwszym rozdziale autor przytacza argumenty dotyczące tego, czym jest w istocie współczesna Rosja (czy możemy zaklasyfikować ten kraj jako neoimperium czy też postimperium?). Skupia się także na rosyjskim nacjonalizmie, jego obliczach i skutkach, jakie niesie on dla Rosji i jej możliwości odbudowy imperium.

Rozdział drugi poświęcony jest idei Moskwy – Trzeciego Rzymu i jej interpretacji na przestrzeni dziejów Rosji. Autor wiedzie nas przez załamki rosyjskiej historii, pokazuje dylematy wspomnianej idei – takie jak izolacja czy ekspansja oraz religijność czy świeckość. Na koniec utrzymujemy tzw. mapę rosyjskiej duszy pomagającą w zrozumieniu wspomnianych dylematów.

W rozdziale trzecim „Geopolityka i imperializm” autor wziął sobie za cel przedstawienie głównych nurtów rosyjskiej myśli geopolitycznej, takich jak atlantyzm, eurazjatyzm i insularyzm. Paweł Rojek zbadał także potencjał imperialny wspomnianych nurtów oraz na ich podstawie nakreślił „nową mapę rosyjskiej duszy”.

Ostatni rozdział publikacji, „Władza i Eurazja”, dotyczy dwóch niezwykle istotnych i niepospolitych osobowości obecnych na rosyjskiej ideologicznej szachownicy. Aleksander Dugin jest czołowym ideologiem oraz liderem ruchu eurazjatyckiego, a nawet – według wielu – faszystowskiego, ►



- z kolei Surkow sformułował słynną doktrynę „suwerennej demokracji”, będącą oficjalną ideologią w erze Putina. Celem było pokazanie, że Dugin i Surkow reprezentują dwa przeciwstawne sposoby rosyjskiego myślenia, z czego w konsekwencji wynikają dwa sprzeczne programy polityczne.

Nie ulega wątpliwości, że książka Pawła Rojka „Przekleństwo Imperium. Źródła rosyjskiego zachowania” jest publikacją potrzebną i przede wszystkim niezwykle aktualną ze względu na wydarzenia na Ukrainie w roku 2014. To lektura obowiązkowa dla osób zainteresowanych naszym wschodnim sąsiadem i motywami, którymi się kieruje, skłaniającą do refleksji nad istotą polityki zagranicznej i wewnętrznej Federacji Rosyjskiej i ukazującą czytelnikowi inne spojrzenie na działania Rosji, niż to, które tak często serwują nam światowe media w pełnych antyrosyjskiej histerii artykułach.

To pewnego rodzaju głos rozsądku w dyskursie publicznym, który pozwala spojrzeć nieco chłodniej na poczynania i globalne plany Federacji Rosyjskiej oraz podaje czytelnikowi garść niezmiernie istotnych informacji na temat motywacji, świadomości i ogólnego funkcjonowania elit obecnie sprawujących władzę w Rosji.

MONIKA LUDWA



Paweł Rojek, *Przekleństwo Imperium. Źródła rosyjskiego zachowania*
Wydawca: Wydawnictwo M
Rok wydania: 2014

Spektakl w reżyserii Konstantina Bogołomowa niewątpliwie zasługuje na to, byśmy poświęcili mu czas, wybierając się do teatru. To reżyserski majstersztyk mówiący prawdę o człowieku i jego naturze, skłaniający do zadumy, ale i wyśmiewający wady zarówno innych, jak i swoich wskutek ironii zastosowanej przez Bogołomowa

„PŁATONOW”, czyli inny Czechow

Powinniśmy dziękować dzisiejszemu światu, że istnieją artyści mający talent i chęci do tego, by podróżować po świecie i tworzyć nie tylko dla swojego kraju. Taki wstęp dedykuję Konstantinowi Bogołomowowi, młodemu, rosyjskiemu reżyserowi, który wystawia spektakle i tworzy je nie tylko w Rosji, ale i w polskich teatrach z polskimi aktorami. Dzięki temu powstał niesamowity spektakl „Płatonow” na podstawie tekstu Antona Czechowa.

Jest faktem, że reżyser wybrał tekst dobry (z racji samego nazwiska twórcy dramatu), jednak nie przeszkodziło mu to w ukazaniu go w przewrotny, nietypowy sposób. W trakcie spektaklu nie było żadnych fajerwerków czy ludzi wybiegających naraz na scenę. Bogołomow postawił na prostotę – scenografię typowo oddającą klimat dramatu, opowiadającą o mieszkańcach jednego z rosyjskich dworów.

Bohaterowie wiodą beznadziejne życie, siedząc w licznym gronie, w jednym miejscu, zawikłani w sercowe dramaty, dusząc się wzajemną obecnością. Na scenie widzimy jedno pomieszczenie, w którym znajduje się dosłownie wszystko – kredens, pralka, kuchenka, łóżko i wiele innych rzeczy do siebie niepasujących. Do tego obokurkowe, wypłowiałe zielone ściany.

To jednak wyłącznie dopełnienie samego sposobu, w jaki reżyser przygotował ten spektakl. Dla niektórych (zwłaszcza mężczyzn) oburzający może być fakt, że kobiety wcieliły się w role męskie, a mężczyźni w kobiece. Na dodatek tekst wypowiediany przez aktorów jest biały – właściwie przez cały czas brakuje w nim emocji.

Tych zabiegów Bogołomow nie użył po to, by pokazać, że stoi po stronie feministek, a tekst wydaje się tak beznadziejny, że nie ma sensu go interpretować. Nic z tych rzeczy. Rosyjski twórca chciał tym podkreślić,

że tekst Płatonowa pozostaje uniwersalny – zarówno w czasie, jak i w interpretacji. Faktycznie sprawdza się to bardzo dobrze i widz w pewnym momencie sam widzi inne rozwiązania dla oglądanej sztuki.

Niewątpliwie innym atutem spektaklu pozostaje obsada aktorska: Ewa Kaim (jako Abraham Wiengierowicz), Anna Radwan (odgrywająca główną, tytułową rolę Michaiła Płatonowa), niezastąpiona i najznakomitsza Anna Dymna w roli brata jednej z bohaterek Nikołaja Tryleckiego (bohater niczym się nie przejmuje, jest wręcz zakałą rodziny, a na koniec zaskoczenie – to właśnie jego postać staje się „przekaznikiem” życiowych mądrości) czy Adam Nawojczyk (jako Anna Wojnicew).

Zdecydowanie „Płatonow” według Konstantina Bogołomowa to inny Czechow. Momentami można się było zastanawiać, czy reżyser nie bluźni, ubierając tekst pisarza w taką formę. Jednak z pewnością nie były to bluźnierstwa, ale podkreślenie ułomności człowieka i niedogodności kraju, które reżyser ukazał w sposób komiczny (gdy nie mamy już łez, to pozostaje nam wyłącznie śmiech).

Spektakl niewątpliwie zasługuje na to, byśmy poświęcili mu czas, wybierając się do teatru. To reżyserski majstersztyk mówiący prawdę o człowieku i jego naturze, skłaniający do zadumy, ale i wyśmiewający wady zarówno innych, jak i swoich wskutek ironii zastosowanej przez Bogołomowa.

ALEKSANDRA ŚWIST

Anton Czechow, *Płatonow*
Reżyseria: Konstantin Bogołomow
Przekład: Agnieszka Lubomira Piotrowska
Narodowy Stary Teatr im. Heleny Modrzejewskiej Kraków, Scena Kameralna
Scenografia i kostiumy: Larisa Łomakina
Data premiery: 19.12.2015, Kraków



Film „Avengers: Koniec gry”, wspólne dzieło braci Anthony’ego i Joe Russo, ma niepowtarzalny klimat, z łatwością można się utożsamić z bohaterami i przeżyć wraz z nimi nietuzinkową przygodę

42

GRA SKOŃCZONA

Thanos w poprzedniej części „Avengers: Wojna bez granic” pstryka palcami i pozbywa życia połowy istot. Superbohaterowie w najnowszej, a zarazem ostatniej odsłonie fascynujących przygód zmuszani są do podejmowania trudnych życiowych wyborów. Mściciele dźwigają na barkach losy całego wszechświata. Obiecali sobie, że przywrócą do życia przyjaciół i odzyskają godność.

„Avengers: Koniec gry” w reżyserii braci Anthony’ego i Joe Russo (światową premierę film miał 22 kwietnia br.) jest głośnym hitem tego roku do obejrzenia w technice 2D i 3D. Popularna seria o superbohaterach przyciąga do kin widzów w różnym wieku, bilety sprzedają się zaskakująco dobrze. Logicznie scenariusz Christophera Markusa i Stephen McFeelya zdumiewa i wywołuje wiele emocji. Śmiech, smutek, zaskoczenie bądź łzy pojawiają się podczas oglądania ostatniej części przygód znanych postaci.

Ekranizacja to dla wszystkich fanów Marvela powrót do przeszłości. W trakcie seansu „Avengers: Koniec gry” wielokrotnie można odczuć, że to koniec pięknej historii o poświęceniu, przyjaźni, miłości czy heroicznych wyczynach superbohaterów.

Film opowiada o chęci poprawy popełnionych błędów, zmaganiu się z różnymi problemami, które mogą spotkać każdego człowieka. Mściciele muszą się przystosować do przebywania w niekomfortowych warunkach, pragną zmiany i mają nadzieję na lepsze jutro.

Epicka bitwa zapierająca dech w piersiach, zabawne dialogi, różne postawy postaci dodają filmowi rozmachu i sprawiają, że prawie trzygodzinny seans nie nudzi, lecz daje możliwość zastanowienia się nad sensem kruchości życia.

Wspólne dzieło braci Russo ma niepowtarzalny klimat, z łatwością można utożsamić się z bohaterami i przeżyć wraz z nimi nietuzinkową przygodę.

„Avengers: Koniec gry” to niesamowite widowisko wyróżniające się świetnie dobraną ścieżką dźwiękową i dynamicznymi efektami, które wprawiają w zachwyt, wypełnione nieprzewidywalnymi scenami, wspaniałą grą aktorską, trzymające w napięciu do samego końca.

Przez długi czas takie postacie, jak Iron Man, Kapitan Ameryka, Thor, Hulk, Czarna Wdowa wywoływali uśmiech na twarzach fanów, ale wszystko kiedyś się kończy. Film „Avengers: Koniec gry” jest wart uwagi i idealnie podsumowuje wszystkie lata spędzone z ulubionymi superbohaterami stworzonymi przez Marvel Cinematic Universe.

AGNIESZKA OCHMAŃSKA

Avengers: Koniec gry
 Reżyseria: Anthony Russo, Joe Russo
 Scenariusz: Christopher Markus, Stephen McFeely
 Gatunek: science-fiction
 Czas trwania: 181 minut.
 Rok produkcji: 2019
 Kraj produkcji: USA
 Premiera: 25 kwietnia 2019 r. (Polska)

Można się tylko cieszyć z tego, że w Polsce powstają takie obiekty, jak HOTEL LIVE HERON w Gródku nad Dunajcem, mogące śmiało konkurować z najlepszymi hotelami w Europie i na świecie



Z natury powstało dzieło sztuki

HOTEL LIVE HERON położony nad taflą Jeziora Rożnowskiego w Gródku nad Dunajcem, niewiele ponad 100 km od granic administracyjnych Krakowa, imponuje konstrukcją i wyglądem. Zaprojektowano go w taki sposób, że jedząc śniadanie w hotelowej restauracji, odnosi się wrażenie, jakby siedzieliśmy na środku jeziora.

Wszystko dlatego, że sprytnie odciągnięto uwagę gości od fragmentu połączenia lądu z taflą wody. Do tego pokąźnych rozmiarów okna przybliżają nas do natury, która wydaje się na wyciągnięcie ręki. Tak właśnie wyobrażałam sobie „szklane domy”, o których pisał Stefan Żeromski.

Spójność i konsekwencja to pierwsze słowa, które przychodzą mi na myśl, gdy wspominam hotelowe wnętrza. Wszystko zostało tam pieczołowicie dobrane, a elementy wystroju tworzą harmonijną całość sprzyjającą wyciszeniu. Hotel urządzono w klimatach nowoczesnego stylu nowojorskiego z akcentami drewna i marmuru. Od strony jeziora obiekt jest przeszlony, dzięki czemu już z lobby udaje się podziwiać Jezioro Rożnowskie.

Hotel dysponuje aż ośmioma typami pokoi różniących się standardem oraz widokiem: na las bądź jezioro, a w konsekwencji i ceną. Niebywałą zaletą pokoi na pierwszym piętrze z ekspozycją na jezioro pozostaje obecność ogromnego tarasu porośniętego trawą, który oddano do wyłącznej dyspozycji gości z tego piętra. Pokoje na wyższych kondygnacjach wyposażono w balustrady – jednak bez balkonów. Ich stylistykę utrzymano w harmonii z resztą hotelu. Jest niezwykle elegancko.

Do dyspozycji gości pozostają trzy hotelowe restauracje: *Sienna 104*, *Marina* – położona na poziomie -3 z bezpośrednim zejściem do przystani oraz *Sky Bar* z sushi ulokowany na czwartym piętrze. Pierwsza z nich proponuje także śniadania o dużej różnorodności (produkty są najwyższej jakości). Zarówno weganie, jak i mięsożercy znajdą tutaj coś dla siebie. W sekcji *live cooking* na oczach gości przygotowuje się zamówione przez nich posiłki. Dodatkowo barista przyrządza kilka rodzajów kawy.

Restauracja *Marina*, poza wysmienitym jedzeniem, przyciąga położeniem. Usytuowana tuż przy przystani, pozwala nacieszyć oko imponującym widokiem na jezioro. Stoliki

rozlokowane są tutaj zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz, dzięki czemu goście sami decydują o tym, z której perspektywy wolą podziwiać krajobraz.

Ostatnia z restauracji – *Sushi Bar* – proponuje doskonałe ryby i owoce morza. Część z nich pochodzi właśnie z wód Jeziora Rożnowskiego. Sam wystrój jest dość surowy i minimalistyczny, ale w stylistyce pozostaje spójny z pozostałymi wnętrzami hotelu.

„Heron” zaskakuje również gości bogatą ofertą wellness & spa. Dysponuje aż czterema saunami, strefą relaksu, krytym basenem, dwoma wewnętrznymi jacuzzi, zewnętrznym basenem typu infinity oraz jednym dodatkowym jacuzzi na tarasie. Ponadto w ofercie spa znajdują się liczne zabiegi na twarz i ciało oraz masaże (w tym dla par), odbywające się synchronicznie. Oferta jest naprawdę imponująca i z pewnością każdy znajdzie tutaj coś dla siebie.

Nowosądecka ma bardzo wiele do zaoferowania. Można tutaj z powodzeniem wynająć łódkę i popływać po jeziorze, pójść na spacer po lesie lub zwiedzić okoliczne atrakcje, chociażby takie, jak zamek Tropsztyn czy most Stacha – będący największym kamiennym mostem wybudowanym przez jednego człowieka. W okolicy znajduje się również Sąddecki Park Etnograficzny, prezentujący architekturę drewnianą oraz tradycyjną kulturę ludową tego obszaru.

Cieszę się, że w Polsce powstają tego typu obiekty mogące śmiało konkurować z najlepszymi hotelami w Europie czy na świecie. Personel cechuje pełny profesjonalizm, a goście czują się tutaj doskonale.

HOTEL LIVE HERON nie należy do hoteli najmniejszych, gdyż dysponuje łącznie 81 pokojami, mimo to można się tutaj poczuć intymnie. Z natury powstało dzieło sztuki. Nie ukryto jej ani nie zamaskowano przed człowiekiem, lecz postawiono ją tam, gdzie zawsze powinna się znajdować, czyli na pierwszym miejscu.

MAGDALENA STRONCZAK

HOTEL LIVE HERON *****
ul. Sienna 104
33-318 Gródek n. Dunajcem
tel. 18 888 85 00
e-mail: rezerwacja@heron-hotel.com

**Skrzypaczka Bomsori Kim
i pianista Rafał Blechacz
w Filharmonii im. Karola
Szymanowskiego**



UCZTA MUZYCZNA, która zdarza się rzadko

44

Sala Filharmonii im. Karola Szymanowskiego wypełniła się tego dnia niemal do ostatniego miejsca. Po długiej przerwie do Krakowa zawitali bowiem Koreańska Bomsori Kim, zdobywczyni m.in. II nagrody na XV Międzynarodowym Konkursie Skrzypcowym im. Henryka Wieniawskiego w Poznaniu, oraz Rafał Blechacz, laureat głównej nagrody na XV Konkursie Chopinowskim w Warszawie.

Na początku zabrzmiała sonata F-dur KV 376 Wolfganga Amadeusza Mozarta skomponowana w 1781 r. (mistrz zadedykował ją uczennicy Josephie von Auernhammer żywiącej do niego uczucie, ale nieodwzajemnione) Partie obu instrumentów są potraktowane przez Mozarta po partnersku. Bomsori Kim i Rafał Blechacz z wielką prostotą i finezją wykonali poszczególne części utworu, z których skrajne były wewnętrznie skonstrastowane pod względem fakturalnym i agogicznym, te w części środkowej zaś zawierały więcej liryzmu i spokoju.

Po podróży do muzycznego Wiednia z końca XVIII w. przyszedł czas na sonatę A-dur pp. 13 nr I (1875) Gabriela Fauré, która zachwyła słuchaczy śpiewnością, elegancją i werwą. W owym utworze nie brakuje nawiązań do muzyki wokalne. Fauré skomponował sonatę z myślą o zadedykowaniu jej Paulowi, synowi śpiewaczki Pauline Viardot i bratu dziewczyny, którą chciał poślubić. Prawykonanie utworu odbyło się w 1877 r. w Paryżu na koncercie w Société Nationale skrzypaczki Marie Tayau i kompozytora zasiadającego przy fortepianie. W wykonaniu polsko-koreańskiego duetu wiele było ekspresji i wirtuozerii, a bogactwo brzmień skrzypiec i fortepianu zachwytiło publiczność.

W dalszej części wieczoru w Filharmonii im. Karola Szymanowskiego zabrzmiały dwie sonaty na skrzypce

i fortepian powstałe w I połowie XX w. Najpierw sonata g-moll Claude'a Debussy'ego, wykonana po raz pierwszy przez skrzypka Gastona Polenta i Debussy'ego w 1917., będąca zestawieniem części niedokończonych cyklu sonat na różne instrumenty, a następnie skomponowana w 1904 r. późnoromantyczna sonata d-moll Karola Szymanowskiego, dedykowana Bronisławowi Gromadzkemu i wykonana po raz pierwszy w Warszawie 1909 r. przez Pawła Kochańskiego i Artura Rubinsteina.

Słuchając wszystkich utworów wykonywanych przez Bomsori Kim i Rafała Blechacza, byłam zachwycona ich grą. Ujawnili w niej nie tylko wyjątkowe umiejętności techniczne, walory brzmieniowe, ale przede wszystkim szeroką gamę emocji. Na bis usłyszeliśmy wydany pośmiertnie nokturn cis-moll Fryderyka Chopina, będący transkrypcją wersji fortepianowej na skrzypce z fortepianem.

Idąc na koncert, wiedziałam, że mogę się spodziewać wykonania utworów Mozarta, Faurego, Debussy'ego i Szymanowskiego na najwyższym poziomie. Podczas całego koncertu artyści świetnie ze sobą współpracowali, a ich gra dopracowana była w każdym szczególe. Taka muzyczna uczta zdarza się rzadko.

MARIA MAJTYKA

Koncert kameralny, sala Filharmonii Krakowskiej im. K. Szymanowskiego w Krakowie

29 maja 2019 r.

Wykonawcy: Bomsori Kim – skrzypce, Rafał Blechacz – fortepian, Repertuar:

Wolfgang Amadeus Mozart – Sonata F-dur KV 376

Gabriel Fauré – Sonata A-dur op. 13 No. 1

Claude Debussy – Sonata g-moll

Karol Szymanowski – Sonata d-moll op. 9

Sezon strajkowy trwa w najlepsze. Mimo że nasz rząd orze jak może, w kraju wciąż panuje nieurodzaj. Tym razem przed szeregiem wyszli nauczyciele, zmęczeni ciągłymi reformami, wątpliwą jakością podstawą programową i absurdalnie niskimi zarobkami. Na dochodzenie swych praw wybrali gorący okres egzaminów końcowych, odbywających się na wszystkich szczeblach edukacji. Sprawili to, że o protestujących mówią niemal wszyscy, jedną narrację ustalić jednak trudno.

Rząd do negocjacji z nauczycielami ma niejednoznaczny stosunek. Z jednej strony chciałby coś dać, lecz najlepiej nie więcej, niż tyle, ile już otrzymali. Niby docenia

ują tylko 18 godzin tygodniowo, mają wolne wszystkie weekendy, święta, ferie i wakacje, czyli legalnie i na koszt podatników objają się przez większą część roku, a do tego jeszcze na wycieczki i kolonie jeżdżą za ich pieniądze.

Mimo że poglądy przedstawiane po dwóch stronach barykady są całkowicie odmienne, jeden z nich wykrzykiwany jest zgodnie wspólnym głosem. Dzieci potrzebują lepszej szkoły! Lepszych nauczycieli, którzy poświęcą każdą z 2700 sekund lekcji na efektywne wbijanie wiedzy do małych główek. Będą pasjonatami, misjonarzami, ludźmi powołanymi do swojego zawodu. No i niech jeszcze ktoś (najlepiej nauczyciel) opracuje sposób na szybką na-

Perty przed świnią

trud wkładany w nauczanie, ale warunków pracy poprawić nie chce. Niby rozumie, że zarobki polskiego nauczyciela na tle innych krajów europejskich są zatrważająco niskie, jednak zaraz przypomina, że czas pracy również jest najkrótszy, więc na pozór wszystko się zgadza. Niby ma świadomość, jak ważna jest edukacja, a jednak konsekwentnie dokłada starań, by następne pokolenia były coraz głupsze.

Oliwy do ognia dolewa Prezes, z rozmachem rozdając kolejne „plusy” na krowy i świnię, podczas gdy negocjacje z nauczycielami znów spaliły na panewce. Nie ma wątpliwości, że strajk pracowników szkół stał się czynnikiem dzielącym społeczeństwo.

Najmocniej zarysowują się dwa obozy: entuzjastów protestu oraz jego kategorycznych przeciwników. Ci pierwsi składają szybkie podania o urlop, by zająć się swoimi dziećmi pozbawionymi opieki pedagogicznej. W wolnych chwilach natomiast solidaryzują się z belrami, biorąc udział w licznych manifestacjach i wymachując transparentami równie ochoczo i nierozważnie jak głowa pewnego państwa długopisem. Zupełnie, jak gdyby zapomnieli o tym, że z posiadania niewłaściwych poglądów mogą zostać szybko rozliczeni.

Drudzy nigdzie raczej nie chodzą, lecz siedzą – najczęściej przed komputerem – by tam dać upust swojemu niezadowoleniu i frustracji spowodowanej roszczeniową postawą nauczycieli oraz ich nieodpowiedzialnym zachowaniem w stosunku do uczniów. Fraza mówiąca o braniu dzieci na zakładników bywa w ostatnich dniach powtarzana tak często, że powinna na stałe wejść do kanonu naszej narodowej, politycznej nowomowy.

Równie często słychać argumenty, że nauczyciele pra-

ukę, tak żeby uczniowie cały materiał opanowali w czasie lekcji, nie zwracając głowy zmęczonym po ciężkim dniu pracy rodzicom.

Nasuwa się tylko jedno pytanie – skąd wziąć takich nauczycieli? Przecież ci obecnie zatrudnieni w szkołach to prawdopodobnie garstka ostatnich. Wystarczy spojrzeć na średnią wieku pedagogów w przeciętnej, krakowskiej podstawówce, by przekonać się, że nie jest to zawód przyciągający rzesze młodych, zdolnych i chętnych do pracy absolwentów.

Dlaczego nagle miałyby się to zmienić?

Czy wyższe płace i zaopatrzenie szkół w nowoczesne pomoce naukowe spowodują wysyp świetnych nauczycieli z pasją?

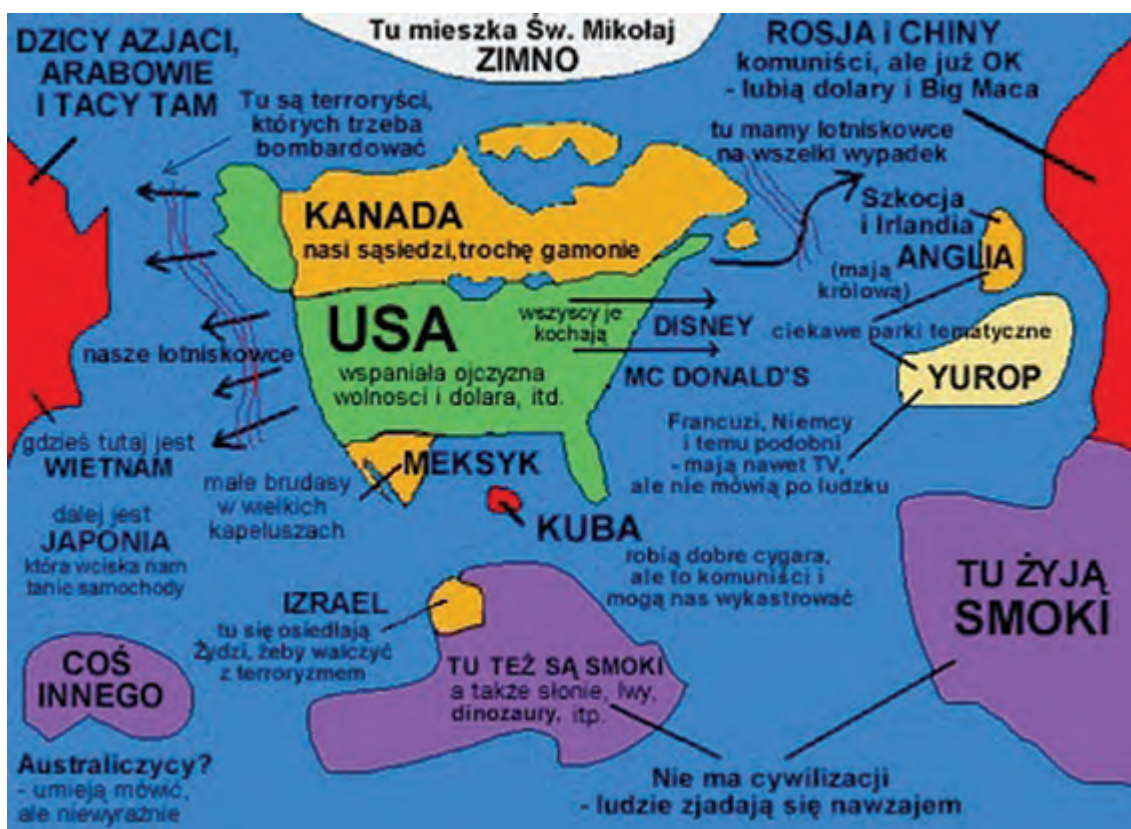
Czy ci, którzy dzisiaj uczą dzieci, naprawdę są tak źli i niekompetentni, czy jedynie zmęczeni ciągłą walką nie tylko z systemem, ale również z brakiem szacunku, zaufania i niemożliwymi do spełnienia roszczeniami rodziców?

Mam nieodparte wrażenie, że w polskiej szkole nie nastąpi żadna, naprawdę dobra zmiana, póki nie tylko rząd, ale i rodzice nie zweryfikują swojego stanowiska. Rozumiem postawę nauczycieli i wcale mnie ona nie dziwi ani nie oburza. W końcu nikt przy zdrowych zmysłach ochoczo nie daje czegoś najcenniejszego – ciężko zdobytej wiedzy, pracy, doświadczenia i własnego czasu – osobom, które tego nie doceniają. To byłoby całkowicie irracjonalne i nielogiczne zachowanie. No, chyba że ktoś od pereł bardziej ceni świnię, ale to raczej rzadko spotykana postawa.

ANNA PANIKOWSKA-FILIPEK

Tacy są AMERYKANIE...

46



Jeśli masz blond włosy i niebieskie oczy, a twój akcent nieco różni się od amerykańskiego, to z pewnością wezmą cię za Rosjankę. „I’m pretty sure you’re Russian girl”. Ileż ja to razy słyszałam!

Babcia płakała. Nie tylko na pożegnanie, ale nade mną. – Kto to widział rzucać pracę w zagranicznej korporacji i lecieć za chłopem do Ameryki...? Chłop to to nie był, tylko szlachcic, dobrze urodzony. Nawet sygnet rodowy przywdział na palec, gdy mi ślubował w kościele. To jednak babci nie przekonało. Dopiero argument, że mąż to rodzina, a rodzina Bogiem silna, jej pomógł. Pobłogosławiła mnie i polecała.

Już na pokładzie gorzko przekonałam się, że sceptycyzm babci wobec chłopca był uzasadniony. On mnie wtedy zdradził w tym samolocie. Dostał darmowy upgrade do business klasy i to z nią wolał spędzić przeszło 12-godzinną podróż do San Francisco. Cóż za upokorzenie! Nielimitowane wino w starej dobrej Lufthansie pozwoliło mi utopić smutki.

Gdy tylko wysiadłam z samolotu, pojawiło się pierwsze zaskoczenie. Nie miałam pojęcia, że Amerykanie są aż ta-

kim bezwstydnikami! A mowa tu o okazałych rozmiarów szparach odgradzających kabiny w łazienkach. Czasem zastanawiam się, czy nie lepiej by było po prostu zrezygnować z grodzenia toalet na rzecz korporacyjnego open space'u z ustawionymi w szeregu klozetami, skoro i tak wszyscy mogą dostrzec, jak załatwiam swoje potrzeby fizjologiczne.

Żeby tego było mało, to jeszcze dolna krawędź drzwi łazienkowych sięga tam mniej więcej do wysokości kolan – moich kolan, a dodam, że do niskich nie należę. Przy odrobienie sprytu udaje się zatem dołem czmychnąć do koleżki obok pożyczyć trochę papieru.

Ale to wszystko pikuś. Gdy jesteśmy w temacie około-szaletowym, to musisz wiedzieć, drogi czytelniku, że w Stanach rączki od prysznica nie uświadczysz. Zamiast niej – króluje deszczownica. Uwielbiam deszczownice! Kojarzą mi się z pocałunkami w deszczu, jakich naoglądałam się w komediach romantycznych, a których – ze względu na niechęć mojego męża do tej formy bliskości – nie było mi dane doświadczyć.

Amerykańskie deszczownice są jednak zgoła odmienne od tych, do których zdążyliśmy już przywyknąć. Ulokowane na ścianie z wąskim strumieniem wody, sprawiają, że trzeba się nieźle nagimnastykować, by trafić pod jej nurt.

Było to dla mnie nie lada wyzwaniem. Weszłam wówczas na wyższy poziom zdolności akrobatycznych, co miało wiele zalet. Udało mi się bowiem nie przytyć, racząc się wykwinną amerykańską kuchnią. Samo zdrowie! Twoje zdrowie, czytelniku!

Wznoszę je kieliszkiem dobrego kalifornijskiego wina, którego Amerykanie nie doceniają, woląc się raczyć ohydny bourbonem. Pijają go przy każdej możliwej okazji – do przebieranek na Halloween, ale i razem z indykiem podawanym na Święto Dziękczynienia.

To chyba jedna z niewielu okazji, gdy można ich zastać w domu na wspólnym posiłku. Wszyscy bowiem jadają na mieście! W porze lunchu znalezienie stolika graniczy z cudem. Stołując się na mieście za oceanem, musisz pamiętać, drogi czytelniku, o bardzo restrykcyjnych zasadach dotyczących tipowania. Brak napiwka do hańba. A nawet gorzej. Lepiej dać komuś komuś w twarz, niż pozbawić go napiwku! Jak mawiają Amerykanie, za mierną obsługę powinien zostać 10 proc. ceny posiłku, poprawną – 15 proc., a jeśli jesteś zadowolony z usług, to minimum 20 proc.

Zdziwiony, prawda? Mnie też to zaskoczyło. Najbardziej chyba wtedy, gdy napisałam do salonu kosmetycznego przed zaplanowaną wizytą, czy mogę płacić kartą. Uzyskałam następującą odpowiedź: „Yes, but tips only in cash”. To skłoniło mnie do zbadania amerykańskiej kultury tipowania. Wnioski są zadziwiające: napiwki zostawia się nie tylko w restauracjach, ale także w salonach piękności, warsztatach samochodowych, po lekcji surfingu czy nurkowania. Dzięki Bogu, że nie trzeba ich zostawiać w toaletach...

Opowiem ci, drogi czytelniku, pewną anegdotę. Mój znajomy poleciał do Stanów na wakacje. Odkładał grosz do grosza, tak by uzbierać na „podróż życia”, a w restauracjach stołował się wyłącznie z konieczności. Znając amerykańskie zasady, ale jednocześnie podróżując z centem przy duszy, zapłacił za posiłek i prędko oddalił się z baru, nie zostawiając nic dla obsługi.

Jakież było jego zaskoczenie, gdy ujrzał biegnącą za nim kelnerkę. Pobladł ze strachu i przyspieszył kroku. Ale ona pędziła jeszcze szybciej. Wziął głęboki oddech, zaczął szukać dolarów po kieszeniach, po czym okazało się, że ... zapomniął plecaka. Zatraskana kelnerka dostrzegła jego roz-targnienie i ruszyła ulicami Nowego Jorku, oddać zgubę. Chyba jeszcze nie wiedziała, że nie zostawił tipa. Wtedy nie byłoby jej aż tak spieszno.

Amerykanie mają też pewien problem z narodowościami. Otóż, będąc na Hawajach, poznałam pewną dziewczynę o uroczym imieniu Tiffany, która po godzinie rozmowy zorientowała się, że istnieje taki kraj jak Polska, a Poland to nie to samo co Holland. Rozmowy nie kontynuowałam.

Jeśli masz blond włosy i niebieskie oczy, a twój akcent nieco różni się od amerykańskiego, to z pewnością wezmą cię za Rosjanę. *I'm pretty sure you're Russian girl*. Ileż ja to razy słyszałam! Wówczas przed oczyma stawał mi obraz blondynki w różowym kozuchu z białymi kozakami na nogach.

O swoją tożsamość narodową bardzo walczyłam, dementując i wyjaśniając, że pochodzę z Polski. Jeszcze gorzej miała Białorusinka, którą poznałam w przelocie. Opowiadała mi, jak musiała wyjaśniać Amerykanom, że Białoruś nie jest częścią Rosji, ale odrębnym bytem państwowym.

No, ale dajmy sobie już z tym spokój. Biedni Amerykanie mają przecież aż 50 Stanów do zapamiętania, kto by się więc jeszcze połapał w tych wszystkich krajach Europy...

MAGDALENA STRONCZAK

My, mężczyźni, i my, KOBIETY

Zapytałam kiedyś znajomego muzułmanina o pozycję i szacunek wobec kobiet w islamie. Ja, jasnie oświecona Europejka, buńczucznie przekonana o wyższości wartości europejskich (ktoś może zapytać, „czyli właściwie jakich?”) nad innymi nieeuropejskimi, szykowałam się na wysłuchane stare śpiewki, że kobiety w islamie są wolne i szanowane jak nigdzie indziej.

No i co tu dużo mówić, tak też się mniej więcej stało. Nie kupuję retoryki, że islam sam w sobie jest ciemniejszą kobiet. Moim zdaniem prawda bywa znacznie prostsza, nie każdy pobożny i prawy muzułmanin pozostaje tak pobożny i prawy, jak mu się wydaje. Jednak nie przywołałam głosu mojego znajomego, by prawić o oczywistościach oczywistych dla gorliwych wyznawców religii mahometańskiej.

Ów znajomy nieco kpiąco zapytał, czy Europejczycy w istocie szanują kobiety. I czy Europejki szanują same siebie?

Wiedziałam, gdzie krąży jego myśli i gdzie znajdują finał, ale świadomie milczałam, dając mu się wypowiedzieć. I jest! Wygląd. Nie potrafię przywołać naszej dosłownej konwersacji, ale dała mi ona wiele do myślenia. Na tyle wiele, że trudno mi się z nim było po części nie zgodzić: sposób, w jaki Europejki często się noszą i w jaki mężczyźni na nie patrzą, nie jest najwyższą formą szacunku.

Co więcej, w naszej zachodniej kulturze roznegliżowane kobiety są stałym elementem reklam telewizyjnych czy też teledysków muzycznych. Wszystko bowiem sprzedaje się lepiej z kobietą na froncie, wychodząc na spotkanie najbardziej prymitywnym instynktom. A mnie nasuwają się słowa pewnego Irakijczyka z niedawno przeczytanej książki: „Nie sprzedalibyście paczki zapalek bez kobiety na opakowaniu”!

Czy w tym stwierdzeniu nie ma odrobiny... prawdy? Prawdy, która mierzi i nie do końca wyzwala? Prawdy, która pokazuje nam rzeczywistość, która niekoniecznie dobrze mówi o nas samych?

Jakiś czas temu natknęłam się na amerykański film dokumentalny „Miss Representation” pokazujący, jak destrukcyjny wpływ mają media na obecność kobiet na najwyższych szczytach władzy. Widzimy tam czarno na białym, jak poniżający obraz kobiet w amerykańskich mediach głównego nurtu przekłada się na brak zaufania do płci pięknej np. podczas wyborów.

Dziewczynki oglądające telewizję dostają jasny sygnał, że ich wartość zależy od ich wyglądu, z kolei chłopcy otrzymują czytelny przekaz, co jest najważniejsze u kobiet.

I w takim przekonaniu, wrytym w ich podświadomości, dorastają.

Szczególnie mocno uderzył mnie fragment programu telewizyjnego użyty we wspomnianym filmie. Widzimy tam Hillary Clinton, której dostało się za, można rzec, bycie po prostu starszą kobietą, na twarzy której widoczne są już oznaki wieku i zmęczenia. Nie, „wysmiewaczem” nie był mężczyzna. Była to kobieta. Piękna i młoda.

My, kobiety, lubimy obwiniać wyłącznie mężczyzn o seksizm, powierzchowność, dyskryminację, promowanie poniżającego wizerunku kobiet. Jednak czy my także jesteśmy bez winy? W internecie aż roi się od podłych komentarzy, których adresatami i odbiorcami są kobiety. „Jesteś gruba”, „Jesteś brzydka”, „Masz okropne ciało”, „Po co pokazujesz takie krzywe nogi?”, „Nie wychodź z domu bez makijażu!”, „Masz za małe piersi”.

Często my, kobiety, stawiamy przed sobą i naszymi rówieśnicami wymóg perfekcyjnego wyglądu. Zawsze i wszędzie, niezależnie od sytuacji. Same nadajemy wyglądowi status najświętszego wyznacznika kobiecej wartości.

Wolność to wielka wartość. Wydaje się jednak, że niekiedy korzystamy z niej lekkomyślnie. I... w porządku, każdy może realizować swoją wolność jak chce. Problem polega na tym, że to, co nazywam lekkomyślnym korzystaniem z wolności, przynosi skutki, które niekoniecznie sprzyjają kultywowaniu tej wartości. To, jak się ubieramy, zachowujemy, mówimy, tworzy obraz, który na długo zostaje zamknięty w ludzkiej pamięci. Obraz, na którym funkcjonujemy jako... obiekt seksualny.

Bądźmy szczerzy, wszyscy jesteśmy w jakimś stopniu wzrokowcami, a widok wianuszka półnagich kobiet wijących się wokół jednego mężczyzny w teledysku muzycznym raczej nie przywodzi nam na myśl, że mamy do czynienia z absolwentkami prestiżowych uczelni. Widząc młodą kobietę w ubraniach ledwie zakrywających strategiczne miejsca, nie myślimy o niej raczej jako o tytance intelektu. Wniosek jest prosty i bolesny: jak cię widzą, tak cię piszą.

Po części same jesteśmy odpowiedzialne za to, że kobiecie intelekt wciąż nie jest tak bardzo doceniany jak perfekcyjny wygląd. Same nie szanujemy siebie i pozwalamy innym nie szanować nas. Wysyłamy jednoznaczny i czytelny obraz do tysięcy telewizorów, komputerów i smartfonów. My, mężczyźni, i my, kobiety...

MONIKA LUDWA

Ten przeklęty HEJT

Warto zacząć od siebie, by eliminować z naszego zachowania wszelką mowę nienawiści ...

W ostatnim czasie coraz częściej mówi się o tzw. mowie nienawiści (ang. *hate speech*). Znaczący wpływ mają na to z pewnością wydarzenia, do których doszło w naszym kraju na początku roku, a przede wszystkim zabójstwo Pawła Adamowicza. Czy jednak owo tragiczne wydarzenie przyczyniło się do podniesienia świadomości społecznej Polaków na temat niebezpieczeństwa hejtu?

Wśród obcokrajowców pokutuje opinia, że jesteśmy narodem zazdrosnym i niezwykle zawistnym. Niestety, potwierdzenie tego łatwo zweryfikować, wchodząc chociażby na internetowe portale społecznościowe. Wystarczy spojrzeć na komentarze do postów przypadkowego polskiego piłkarza czy polityka. Po mundialu w Rosji polska reprezentacja stała się obiektem drwin, tworzone liczne memy o piłkarzach, a na forach aż grzmiało i huczało od wyzwisk skierowanych wobec reprezentantów Polski.

O politykach z kolei pisano, że to „klamcy i złodzieje”, którzy pobierają niebotyczne pensje z budżetu podatników. O tym, jaki stosunek do tych osób mają zwykli obywatele, łatwo się przekonać, obserwując reakcje pod postami na Facebooku. Jedną z najczęściej wybieranych są bowiem reakcje: „Ha ha” oraz „Wrr”, które bynajmniej nie świadczą o sympatii do osoby, która udostępniła dany post. Ponadto komentarze pod wpisami i zdjęciami znanych osób aż się roją od wulgarności i wyzwisk.

W systemie prawnym mowa nienawiści penalizowana jest przez kodeks karny oraz zakazana przez ustawę o radiofonii i telewizji. W art. 256 k.k. mówi się o publicznym nawoływaniu do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość. Zagrożenie wobec tego występkę obejmuje grzywnę, karę ograniczenia wolności lub karę pozbawienia wolności do lat 2.

To tzw. przestępstwo formalne, oznaczające, że do poniesienia odpowiedzialności karnej nie potrzeba określonego skutku w postaci wywołania u kogoś nienawiści. Wystarczy już za samo nawoływanie do niej i możemy zostać za to ukarani.

Dodatkowo występek nawoływania do nienawiści popełnia się intencjonalnie, co oznacza, że nie można się później bronić nieumyślnością swego działania. Niestety, mało kto zdaje sobie z tego sprawę, na jak wielkie konsekwencje ktoś się naraża, nawołując w internecie (bo jest to na pewno sfera publiczna) do nienawiści.

Kilka lat temu głośno było o sprawie znanego zawodnika sztuk walki Marcina Różalskiego. To bardzo specyficzna postać mająca wielu fanów, ale też i wrogów. Pod jednym z postów Różalskiego pewien człowiek postanowił wylać w komentarzu na autora całą swą agresję. Jak się potem okazało, sportowiec na tyle się tym przejął, że odszukał gościa i stanął w drzwiach jego domu. Można się jedynie domyślać reakcji tego człowieka, który zobaczył przed progiem mieszkania znanego zawodnika MMA, niepałającego wobec niego zbyt dużą sympatią.

Reakcja Różalskiego na hejt wobec własnej osoby była z pewnością nauczką dla wielu osób, które czują się anonimowe w sieci i przez to szerzą nienawiść wobec innych.

Czy mowa nienawiści występuje również w polityce? Tutaj daje się zauważyć pewien paradoks, gdyż politycy często nawołują w kampaniach do jedności i wzajemnego zrozumienia, a mimo to ich kampanie wyborcze często już same w sobie są mową nienawiści. Organizowane spotkania polityczne, z którymi mamy do czynienia przed wyborami, nie zawsze pozostają przedstawieniem swojego programu, lecz pokazaniem błędów konkurenta. Ktoś zapyta: dlaczego nie ma w tych czasach tak charyzmatycznych przywódców, jak chociażby Józef Piłsudski czy Roman Dmowski? Być może właśnie z tego powodu, że wyjątkowi ludzie koncentrują się bardziej na działaniach swoich niż przeciwników.

Innym przykładem przedstawiającym zazdrość i złoliwość jako główne wady Polaków jest stereotyp typowego „Janusza” i „Grażyny”. Zostały one dodatkowo wzmocnione obrazem małpy, konkretnie nosacza sundajskiego, którego cechy i wygląd wyolbrzymiają standardowe zachowania Polaków. Memy powstałe na kanwie tego obrazu przedstawiają naszych rodaków jako przesadnie oszczędnych, za- ▶



- zdrosnych i chciwych. Wyśmiewają też często gwarę, jaką posługują się mieszkańcy wsi, oraz przesadną religijność związaną bardzo często z różnymi zabobonami.

Aby wyciągnąć z tego rozważania jakiś wniosek, sięgnijmy do historii, a konkretnie do *Księgi Henrykowskiej*. Stanowi ona niezwykle cenny zabytek zarówno dla językoznawców, prawników, jak i rzecz jasna historyków. Jest to pochodzący z XIII wieku manuskrypt spisany w języku łacińskim. Znajdują się w niej informacje dotyczące założenia i wyposażenia opactwa cystersów w Henrykowie.

Przy okazji autor opowiedział w niej o stosunkach społecznych i zwyczajach panujących w Polsce w czasach rozbiecia dzielnicowego. Zawiera także nazwy około 120 miejscowości, które istniały już w tym czasie. To także znakomite źródło poznania ówczesnego prawa.

Co ciekawe, w *Księdze Henrykowskiej* znajdziemy najstarsze zdanie zapisane w języku polskim. Brzmi ono następująco: „*Day, ut ia pobrusa, a ti poziwai*”. Uprzedzając pytania, potwierdzam: tak, to jest język polski, tyle że archaiczna wersja, której dzisiaj nie rozumiemy. Współcześnie ów zwrot brzmi: „*Daj, niech ja pomieję, a ty odpoczywaj*”.

Dlaczego były to pierwsze słowa zapisane po polsku? Skąd one się w ogóle wzięły?

Aby nie wrywać jednego zdania z kontekstu, przytoczę tutaj fragment, z którego ono pochodzi:

Gdy zaś tam przez pewien czas przemieszkiwał, pojął za żonę córkę jakiegoś kleryka, chłopkę grubą i zupełnie niezdarną. Lecz trzeba wiedzieć, że za owych dni były tu w okolicy młyny wodne ogromnie rzadkie, przeto żona tego Boguwała Czecha stała bardzo często przy żarnach mieląc. Litując się nad nią mąż jej Boguwał mówił: „Sine, ut ego etiam molam” – to jest po polsku „Daj, ac ja pobruszę, a ty poczywaj”. Tak ów Czech na zmianę męł z żoną i często obracał kamień tak jak żona.

Zwróćmy jednak uwagę na to, jak wiele w tym fragmencie zawartej jest życzliwości i miłości męża do żony. Mężczyzna, widząc nieporadność żony, nakazał jej odpoczywać, podczas gdy on wykonał za nią pracę. Mało tego, mielenie ziaren było w tamtych czasach uważane za pracę hańbiącą dla mężczyzny. Jak mówi historia, otrzymał przez to przydomek „zbrukany”.

Takie są – jak widać – jego korzenie, do których my, współcześni Polacy, powinniśmy wracać. Warto więc zacząć od siebie, by eliminować wszelką mowę nienawiści z naszego zachowania. Musimy pamiętać o tym, że nigdy nie powinno się potępiać drugiego człowieka, ale wyłącznie jego złe czyny. To zasadnicza różnica...

ARTUR ORZEŁ

studium
DZIENNIKARSKIE



Instytut Filologii Polskiej
Wydział Filologiczny
Uniwersytet Pedagogiczny
im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie

ul. Podchorążych 2
30-084 Kraków
Gmach Główny, IV piętro, pokój nr 401

tel. 12 662 61 47

e-mail: studiumd@gmail.com

www.sd.up.krakow.pl

xyz4

